NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. **Kraków, 18 listopada 1916.** **Nr. 47.**

Proklamacya niepodległości w Warszawie.



Uroczyste posiedzenie warszawskiej Rady miejskiej w dniu 5. listopada.

Treść numeru: Kraków w historycznej chwili. — Uroczystość proklamacyjna wśród Legionistów i t. d.

Proklamacya niepodległości w Warszawie.

Pamiętny dzień 5. listopada wstrząsnął do głębi całą Polską. Wieść o wskrzeszeniu niepodległego państwa polskiego odezwała się gorącem echem wszędzie, gdzie tylko biją serca polskie... Tem bardziej



Uroczystość proklamacyjna wśród Legionistów; Salwa honorowa. (Fot. chor. L. Recheński)

głęboko odczuła tę historyczną chwilę stolica Polski, przodownica w naszych walkach o niepodległość — Warszawa. Już od rana w tym pamiętnym dniu zapanował nastrój gorączkowy, lecz poważny i uroczysty. Domy tonęły w barwnej dekoracyi sztandarów i herbów narodowych, a na ulice wyległ ruchliwy i podniecony oczekiwaniem lud warszawski. Fala ludzka rosła i potężniała z każdą chwilą, płynąc ku Zamkowi Królewskiemu, gdzie miało odbyć wielkie misteryum proklamowania wskrzeszonego państwa polskiego.

Około godziny jedenastej zaczęły przybywać delegacye. Najpierw, poprzedzony trzema sztandarami, Uniwersytet, dalej Politechnika, kursy Zielińskiego, szkoły prywatne, wyższe kursy naukowe i skauci, którzy objęli służbę porządkową na placu Zamkowym. Kolejno przechodzili i przejeżdżali delegaci i reprezentacye: Rada miejska, duchowieństwo, kapelani wojskowi, rabini z asystami, dygnitarze wojskowi i cywilni.

W czasie tego przed pomnikiem Mickiewicza, gdzie z wysokiego masztu powiewała flaga narodowa, odbyły się krótkie ale wymowne manifestacye. Podchodzą dwaj żołnierze niemieccy i wnoszą pęk świeżego kwiecia o barwach białych i czerwonych. Następnie podeszli przedstawiciele Narodowego Związku robotników z dwoma sztandarami z napisami: „Niech żyje wolna, niepodległa Polska!“ i „Co nam obca przemoc wzięła — siłą odbierzemy“. Kolejno trzech mowców z pośród robotników stawało na obramowaniu pomnika, wypowiadając przemówienia, zakończone okrzykami „Niech żyje niepodległa Polska!

Około godziny w pół do dwunastej, poprzedzony oddziałem kirasyerów, przybył w odkrytym powozie generał-gubernator Beseler i wkroczył na salę kolumnową, która przywdziała na ten podniosły dzień skromną, ale gustowną szatę, przybrana kwieciem o barwach białych i czerwonych.

W sali czekały już delegacye i. osoby zaproszone, w liczbie pięciuset.

Po odczytaniu przez general gubernatora Beselera proklamacyi w języku niemieckim, powtórzył ją w języku polskim hr. Hutten-Czapski — poczem rozpętała się na sali burza entuzyastycznych okrzyków.

Gdy się uciszyło, zabrał głos prezydent Rady



Uroczystość proklamacyjna wśród Legionistów; Przemowa audytora, dra Dwernickiego (Fot. chor. L. Recheński).

miejskiej, rektor Brudziński, który wyraził podziękowanie Polaków w następującej mowie:

„To uroczyste oświadczenie obu sprzymierzonych monarchów, które uznaje i potwierdza nasze nigdy nie przedawnione prawa do niezawisłej państwowej egzystencyi, przyjmujemy w silnem przekonaniu, że jego treść, podyktowana szczerą życzliwością, rychło i ze świadomością celu się urzeczywistni. Najistotniejszą rękojmię tego urzeczywistnienia widzielibyśmy



Uroczystość proklamacyjna wśród Legionistów: Widok ogólny (Fot chor L. Recheński).

w powołaniu regenta jako symbolu polskiej państwowości, tudzież powołaniu tymczasowej rady państwa aż do chwili, w której król polski stanie na czele ostatecznie zorganizowanego i w swoich granicach określonego polskiego państwa. Jesteśmy o tem przekonani, że wspólność państwowych interesów, które łączą mocarstwa centralne z Królestwem Polskiem, ugruntuje między niemi trwałe przyjaznosąsiedzkie stosunki, i w ten sposób stworzy dla wszystkich obywateli naszego państwa pomyślne warunki rozwoju naszego życia narodowego. Waszą Ekscellencyę prosimy teraz zakomunikować obu wielkodusznym monarchom wyrazy naszej niezłomnej wiary w pomyślne urzeczywistnienie ich woli i wyrazić im naszą głęboko odczutą wdzięczność. Niech żyje wolna i niezawisła Polska!“

Ta mowa wywołała nowe entuzyastyczne manifestacye. Widziano łzy w oczach starszych nawet ludzi. Gdy nastał znowu spokój, wygłosił generał-gubernator Beseler następującą mowę:

„Wśród zamętu wojny światowej wielkoduszne postanowienie sprzymierzonych monarchów wiedzie



Proklamacya niepodległości w Warszawie: Delegacya wojsk polskich, biorąca udział w uroczystości na Zamku Królewskim. W pośrodku brygadyer Szeptycki, obok siedzą: pułkownik Berbecki i szef Departamentu Wojskowego pułkownik Sikorski.





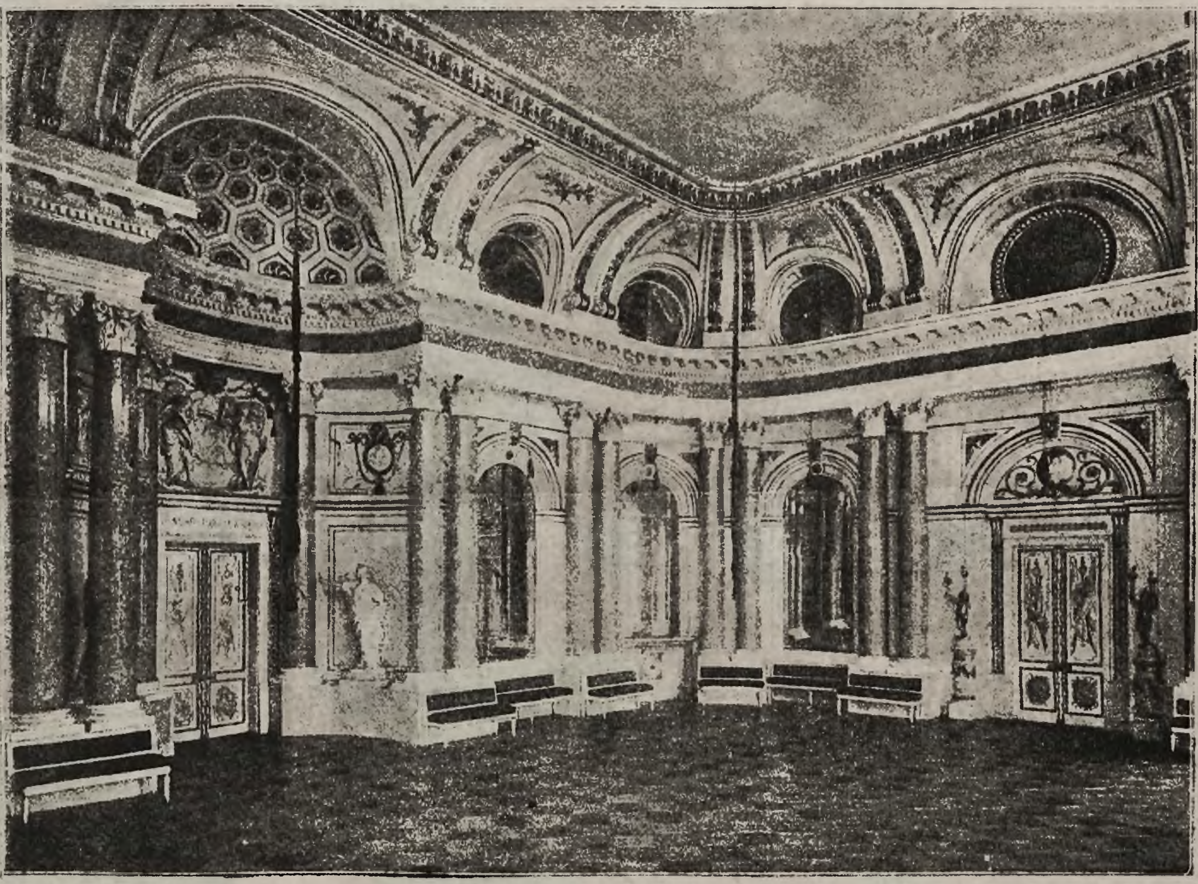
(Fot chor. L. Recheński).

Uroczystość proklamacyjna wśród Legionistów:

Grupa oficerów przed ołtarzem polowym

Kapitan Ludwik Eydziatowicz proklamujący wolną i niepodległą Polskę.

ku realizacyi długo żywione pragnienie samodzielnego państwa polskiego. Ponura wątpliwość: co się z nami stanie, nie powstanie już w polskich sercach. Nowy wielki cel został już panom wytknięty. Chodzi teraz o zbudowanie waszego przyszłego państwa. Jeszcze krwawi kraj z tysiąca ran, jeszcze codziennie żąda także od niego walka przeciw swemu byłemu ciemięzcy nowych ofiar. Ale wszędzie kiełkuje już nowe życie, wszędzie krząta się dążenie do czynnego współdziałania w walce oswobodzicielskiej i w pracy około zagojenia ran zadanych przez wojnę. Więc z pełną ufnością stańcie po naszej stronie, tak jak i my naprzeciw was wychodzimy z naszem zaufaniem, aby walkę doprowadzić do szczęśliwego końca i we wspólnej pracy położyć trwałą podwalinę dla polskiego królestwa, którego narodziny dziś obchodzimy. Niech ono stanie jako mocne ogniwo związku państw europejskich, które równymi duchowymi, politycznymi i gospodarczymi interesami są z sobą wzajemnie związane i wzajemnie dla siebie przeznaczone. Słowo wzniosłych sprzymierzonych monarchów poręcza wam waszą przyszłość, panowie. Polskie państwo powstaje i wnet, jak się spodziewamy, stanie gotowe ku jego obronie, jako symbol jego państwowej samodzielności, polskie wojsko, które z własnej woli skupi się około jego sztandarów. Życzę królestwu polskiemu szczęśliwej przyszłości!"



Proklamacya niepodległości w Warszawie. Sala kolumnowa w Zamku Królewskim, w której odbyła się uroczystość.

Orkiestra gubernialna zaintonowała „Boże coś Polskę..." W tej samej chwili zatknięto na wieży zamkowej i na wszystkich rogach Zamku polskie chorągwie. Gdy dźwięki pieśni przez otwarte okno wydostały się na zewnątrz, tysiące ludzi stojących na podworcu zamkowym i zewnątrz Zamku, obnażywszy głowy, odśpiewało z głębokiem wzruszeniem tę pieśń.

Gdy po skończonym akcie główni uczestnicy opuszczać poczęli Zamek, tłumy, na placu zgromadzone, witały wychodzących owacyjnie. — Przedmiotem szczególniejszej uwagi i adoracyi była delegacya Legionów polskich. Żołnierze legionowi podczas aktu proklamacyi tworzyli w sali kolumnowej szpaler honorowy.

Około godziny pierwszej formować się zaczął uroczysty pochód. Otwierali go skauci z pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła", oraz „Marszem strzelców" na ustach. Dalej kroczyli Legioniści, za nimi młodzież wyższych zakładów naukowych z grupą słuchaczy akademii rolniczej, niosących wieniec zbożowy ze wstęgami narodowemi na wysokim drzewcu. — Młodzież wznosiła co chwila gromkie okrzyki: „Niech żyje cała niepodległa Polska".

O godzinie szóstej minut piętnaście rozpoczęło się w ratuszu uroczyste posiedzenie Rady miasta, które otworzył prezes Rady, rektor dr. Brudziński, następującem przemówieniem:



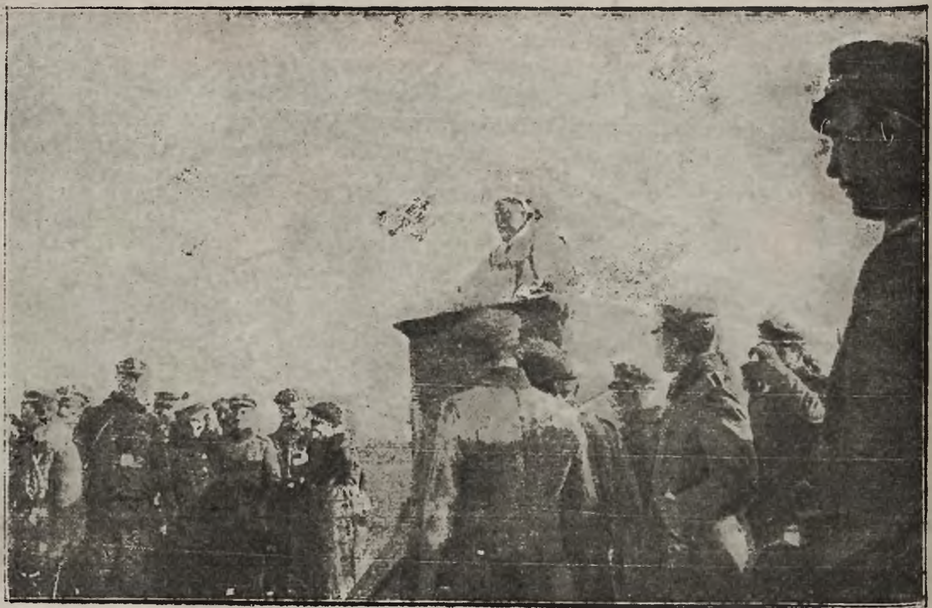


Proklamacya niepodległości w Warszawie:

Oficerowie wojsk polskich opuszczają Zamek Królewski po uroczystości.

Skauci i młodzież szkolna w szpalerze





(Fot. chor. L. Recheński). Msza polowa

Uroczystość proklamacyjna wśród Legionistów: Ksiądz kapelan Strzemecki odczytuje urzędową proklamacyę, ogłaszającą niepodległość Polski.

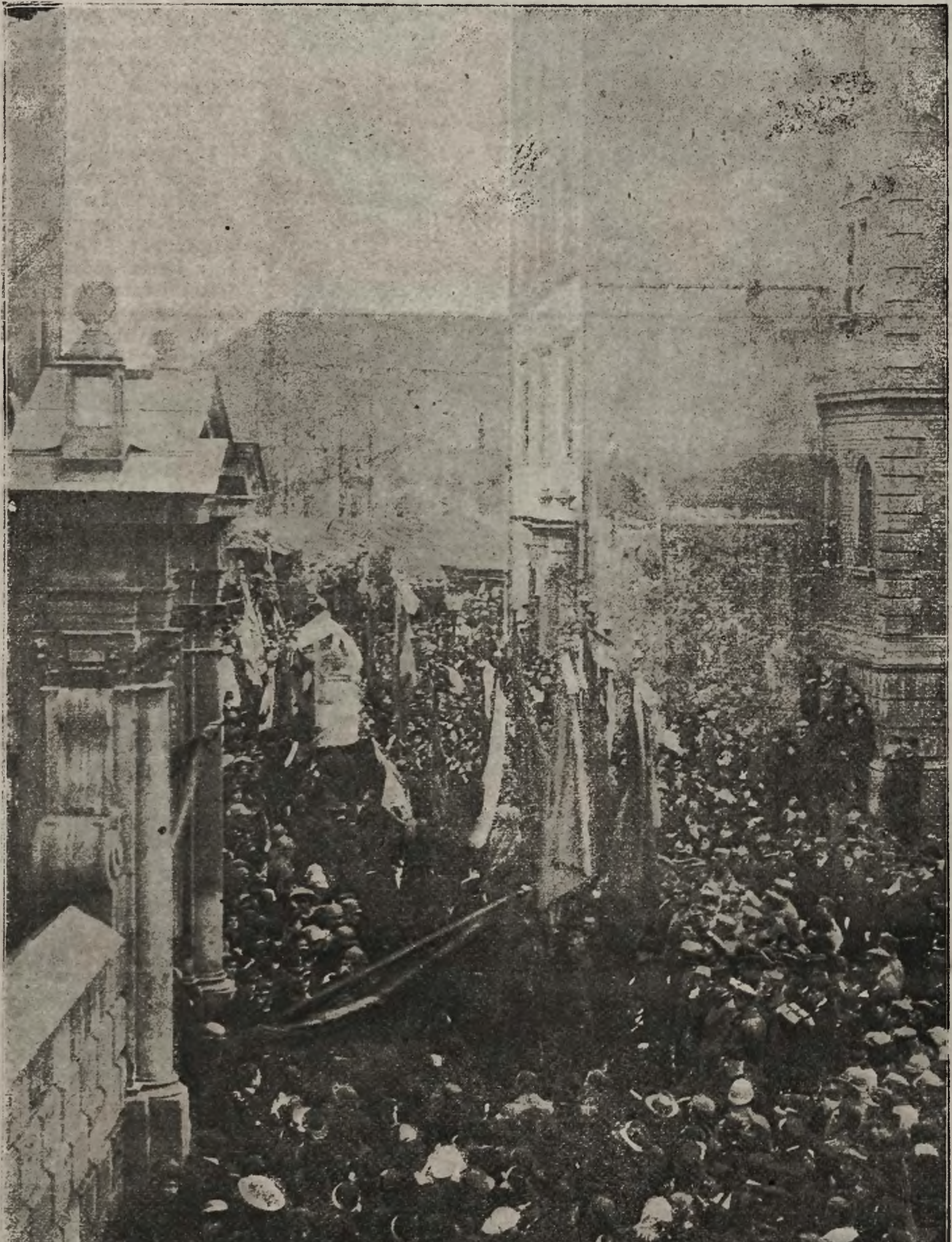
„Zebraliśmy się — zaczął dr. Brudziński — w chwili, w której przekonujemy się, iż nie tylko my, ale i dyplomacya europejska uznaje, że Polska to jest wielka rzecz. Przekonaliśmy się, że nie byliśmy narodem marzycieli. Gdy poeci nasi marzyli o chwili, która miała nadejść, to nie byli tylko poetami, ale byli wieszczami, którzy wywróżyli naszą przyszłość". A dalej oświadczył:

„Gdyśmy się tu po raz pierwszy zbierali w tej sali, stwierdziiiśmy zgodnie nasze dążenie do niepodległości. Uważaliśmy, że powołanie naszej reprezentacyi jest pierwszym krokiem na drodze ku państwowości polskiej. Dziś to zasadnicze nasze dążenie potwierdzają dwa państwa z trzech, w których rękach od czasów rozbioru była sprawa polska".

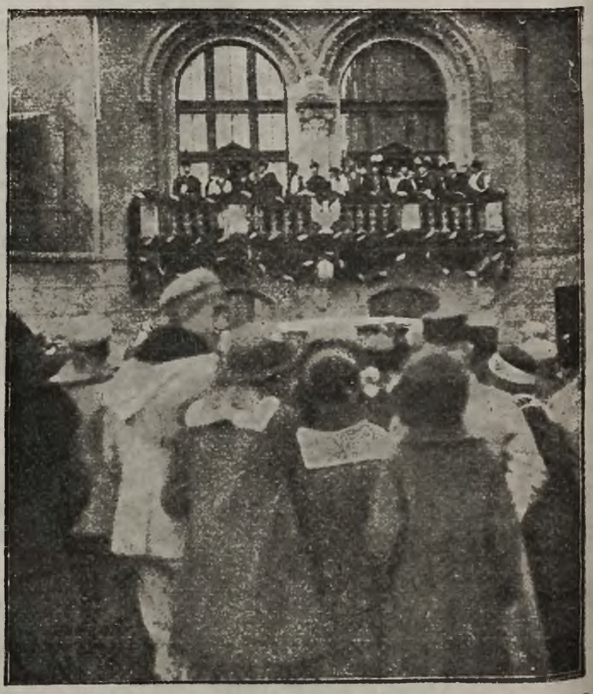
Nakoniec przypomniał dr. Brudziński słowa Mickiewicza, który mówił o narodzie: „chcę go dźwignąć, uszczęśliwić, chcę nim cały świat zadziwić" i równocześnie powiedział: „nie mam sposobu i tu przychodzę go dociec":

„My dziś mamy ten sposób. My dziś mamy ten sposób tak, a może więcej, niż ci, którzy na polu orężnej walki w szeregach wojsk polskich tego sposobu szukali. Mamy go więcej dlatego, że dziś po raz pierwszy od czasu rozbioru nareszcie sprawa polska na terenie międzynarodowym uznaną została tak, jak jej się należy. To znaczy, że my żyć możemy wśród narodów europejskiah tylko jako równi z równymi i tylko tak możemy wspólnie pracować".

Okrzykiem na cześć Polski zakończył dr. Brudziński swe podniosłe a poważne przemówienie.



Kraków w historycznej chwili: Po nabożeństwie w katedrze na Wawelu.



Kraków w historycznej chwili: Przemówienie prez. Leo z balkonu po uroczystem posiedzeniu Rady miejskiej.

Uroczystość proklamacyjna wśród Legionistów.

Dzień piątego listopada, który złotemi głoskami zapisał się w dziejach odradzającej się Polski, obchodzony był uroczyście i wśród Legionistów, stacyonowanych w Dęblinie i okolicy.

O godzinie dwunastej minut trzydzieści w południe ustawili się Legioniści w szeregu. Z sąsiednich wsi przybyło sporo ludności cywilnej, aby wspólnie z wojskiem polskiem uczcić tę podniosłą chwilę.

Uroczystość rozpoczęła się mszą polową, poczem zabrał głos kapitan Eydziatowicz, zastępca komendanta grupy, i w podniosłych, budzących serca słowach ogłosił tę radosną, a tak dawno oczekiwaną nowinę, że dzięki głównie wysiłkom i pracy Legionów i tej krwi serdecznej, której tyle wylało się na całym obszarze ziem dawnej Polski, będziemy przecież mieli znowu wolną i niepodległą Ojczyznę.

Następnie kapelan Legionów ks. Strzemecki, odczytał urzędową proklamacyę, wreszcie przemówił dr. Dwernicki, wskazując na doniosłość i znaczenie chwili.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

7

— Do widzenia! A pamiętaj, Janiu, przyjdź punktualnie na obiad!

— Dobrze, mamo.

Kiedy Janka wyszła, Ludwik zwrócił się do matki:

— Jak się ta Janka zmieniła!

— O! tak, zmieniła się istotnie. W każdej rzeczy chce mieć własne zdanie i wypowiada je bez ogródki. A swoją wolę umie przeprowadzić! Ot, z tem gimnazyum... Postanowiła sobie, przygotowała się sama, zdała egzamin, no i musiałam ustąpić... Ale, widzisz, poza tym jej uporem i pewną szorstkością, niepodobna jej nic zarzucić... To takie zacne, szlachetne, pracowite dziecko! Nie tylko, że uczy się doskonale, ale jeszcze lekcyami zarabia na swoje wydatki, a jak tylko znajdzie wolną chwilę, pomaga mi w domu. Podczas wakacyi zajmuje się ochronką dla sierót po poległych żołnierzach.

Ludwik spuścił głowę. Przypomniał sobie, ile to trosk, kłopotów, pieniędzy, kosztowało matkę jego wykształcenie...

— Jakie to z innemi dziewczętami w tym wieku bywają kłopoty — ciągnęła dalej pani Rażycka. — Rozmaite pierwsze miłości, flirty ze studentami, tajemnice, listy... a u niej ani śladu tego. O stroje nie dba — powiem nawet, że mało troszczy się o swoją powierzchowność i to mnie trochę martwi...

— O to ostatnie najmniejszy kłopot — wtrącił Ludwik. — Kokieterya przyjdzie sama z siebie, skoro tylko obudzi się kobieta... A Janka będzie ładna, mówię mamie, a ja się przecież znam na tem... No z tego, co mamusia mówi, to widzę, że niema się czem martwić... Ta szorstkość jakoś się utrze... a dziewczyna ma charakter — to dobrze! Mnie to właśnie silnej woli brakowało zawsze i brakuje...

— Ja też, Ludwisiu, nie o Jance chciałam z tobą pomówić... Wiesz, przyszedł mi do głowy jeden pomysł... Anielka Walczakowa dwukrotnie już cię zapraszała. A gdybyś tak pojechał do Zalesinek na jakiś czas...

Oczy Ludwika rozjaśniły się, ożywiły.

— Doskonały pomysł, wyśmienity! Uf! sprzykrzył mi się już Kraków, knajpki, koledzy... Wieś, spacery, inne otoczenie... Pyszna rzecz! Pojadę mamo, pojadę! Lekarz także wspominał, że powinienem wyjechać na świeże powietrze, a mają mnie wysłać do jakiej Krynicy, albo innej Rabki, to wolę do Zalesinek...

— „Jak jemu łatwo odemnie odjechać“ — przemknęła pani Rażyckiej myśl, ale to był tylko chwilowy poryw egoizmu, który zniknął jak mgła pod słońcem ofiarnej bezinteresownej macierzyńskiej miłości. Wszak ta matka żyła tylko dla szczęścia i dobra swych dzieci.

— A mamusieczce nie żal wysłać swojego trzpiota? — zagadnął z uśmiechem syn.

— Sądzę, że trzpiotowi będzie w Zalesinkach dobrze, więc muszę sobie tutaj jakoś poradzić bez niego... A zresztą...

— A zresztą, co, mateczko? Tak się mateczka dziwnie popatrzyła na mnie...

— Widzisz — zaczęła pani Rażycka wahającym tonem — oprócz twego zdrowia jest jeszcze jeden wzgląd, dlaczego chciałabym, abyś wyjechał...

— O! Ciekawy jestem! O cóż to chodzi?

— O to, Ludwisiu...

Pani Rażycka wskazała na wazon z tuberozą, więdnące obok w gustownym koszu piękne herbaciane róże...

— A cóż te kwiaty mateczce szkodzą? — zdziwił się Ludwik.

— Moje dziecko, czyś ty się nie zastanawiał nad tem, kto te bezimienne podarunki przysyłać może?

— A wie mama, że nie mam zielonego pojęcia i w tem właśnie leży cały urok! Czy ja wiem, kto... Może jedna jakaś wielbicielka, może ich jest więcej... No, mateczka przecież wie, że syn trzpiot ma szczęście do kobiet...

Roześmiał się swobodnym dźwięcznym śmiechem młodości, zadowolonej ze siebie i pewnej swego czaru.

— Ja jednak sądzę, że to tylko jedna — rzekła matka, nie odwracając oczu od tuberozy, strojnej przepychem śnieżno-białego kwiecia.

— Tak mateczka sądzi? I mnie się to samo wydaje! W tem tylko sęk, która to ta jedna? Przebiegłem już myślą wszystkie moje znajome i nieznajome i ani rusz nie mogę odgadnąć.

Ludwik usiadł przy stole i zabierał się do ostygłej już kawy. Nie smakowała mu jednak stanowczo. Odsunął filiżankę i zapalił papierosa.

— Ja, moje dziecko, domyślam się...

Syn spojrzał zaciekawiony.

— Co?! Mama miałaby być domyślniejszą w tym wypadku, aniżeli ja?!

— Może ty nie umiesz patrzyć, ale ja mam oczy matki i instynkt kobiety, a te rzadko zawodzą...

— No, ciekawym doprawdy, kogo też mama ma na myśli?

Pani Rażycka zawahała się przez chwilę.

— Właściwie nie powinnam przez solidarność kobiecą zdradzać tajemnicy, której się domyśliłam... Sądzę wszakże, że lepiej będzie, abyś wiedział...

— O, jak mateczka tajemniczo zaczyna! Zamieniam się cały w słuch i uwagę...

— Prawdopodobnie będziesz mocno rozczarowany. Otóż, Ludwisiu, powiedz mi, czyś ty się nigdy nie zastanowił nad tem, dlaczego Kornelia Witowtówna przylgnęła tak do nas... a właściwie... do ciebie...

— Cooo?!

Ludwik, zdumiony, skoczył na równe nogi. Gwałtownym ruchem odrzucił papierosa.

— Co?! Mateczka nie przypuszcza chyba, że... Nie! To w istocie pyszne!... Kornelka Witowtówna i te kwiaty!... Co za pomysł! Oj! Mamo, mamo!... Ha! ha! ha!

Pokój napełnił się przeciągłą gamą swobodnego, wesołego śmiechu.

— Ludwisiu — odezwała się pani Rażycka z pewną surowością, z jaką nie przemawiała nigdy dotychczas do syna — nie bądź tak płytkim i lekkomyślnym... Więc tobie się zdaje, że kobieta brzydka, jak Kornelia, nie ma serca i kochać nie może li tylko dlatego, że mężczyźni przechodzą koło niej obojętnie... Jeżeli tak myślisz, to mylisz się bardzo. Taka kobieta właśnie może kochać silniej i głębiej niż inna najpiękniejsza choćby, bo nie ma codziennej sposobności, by rozmienić złoto uczucia na zdawkową monetę flirtu i kokieteryi... I dlatego boję się...

— Ależ, mateczka usnuła sobie w wyobraźni historyę romantyczno-tragiczną a najzupełniej nieprawdopodobną... Poczciwa Kornelka z jej usposobieniem! Doprawdy, mamo, pomijając już jej wyjątkową brzydotę, chociaż powiem szczerze, że trudno to pominąć, niepodobna Witowtówny posądzać o jakieś miłosne bujanie, a tem mniej o jakąś ukrytą tragiczną miłość... Toż ona śmieje się zawsze, czy potrzeba, czy nie potrzeba...

Śmiał się znowu, ale w śmiechu jego dźwięczało już trochę irytacyi.

— Moje dziecko, cieszy mnie, że nie znasz i obyś nigdy nie zaznał tego najgorszego ze wszystkich cierpienia i płaczu przy suchych oczach i śmiejących się ustach... Wierzaj mi, że nie zawsze ten, kto się śmieje, jest wesoły... Właśnie ten wieczny śmiech i ta nieprzerwana wesołość Kornelii zdradzają mi dużo i wiele mówią...

— Ależ, mamo — usiłował bronić syn uroku swojej „nieznanej“ — mnie się zdaje, że ona pieniędzy na to nie ma, aby podobnie kosztowne rzeczy kupować...

— Otóż, to właśnie... Kiedy Kornelia była u nas, zauważyłam, że ma buciki podarte i suknię w kilku miejscach pocerowaną... Ona taka oszczędna i porządna. Pani Łuskowska mówiła mi kiedyś, że Witowtówna od kilku tygodni przestała u niej jadać obiady... Ta dziewczyna głodzi się, odmawia sobie najniezbędniejszych rzeczy, chociaż, jak na swoje skromne wymagania, zarabia sporo... Więc... wniosek jasny... Trzeba to przerwać!... Koniecznie... Jak najprędzej przerwać...

Ludwik chodził po pokoju nerwowym, szybkim krokiem...

Był zły, rozczarowany... Usłużna, pokorna przyjaźń Witowtówny była mu wygodną i przydatną, miłość jej mogła stać się gniotącym ciężarem.

— Więc cóż ja mam zrobić wedle zdania mamy? Powiedzieć jej?... Czy jak?...

— Ależ, nigdy w świecie — zawołała żywo pani Rażycka — zachowaj cię Boże, abyś jedną kroplę upokorzenia miał dolać do tej czary goryczy, którą biedna dziewczyna codziennie wypijać musi... Jeżeli ją spotkasz, nie zdradź się ani jednem słowem, ani jednem spojrzeniem, że się czegokolwiek domyślasz. Postaraj się o pozwolenie twojej władzy i wyjedź, jak tylko będziesz mógł najprędzej... do Zalesinek... bez pożegnania...

Ludwik kręcił głową powątpiewająco... Nie miał ochoty wierzyć w to, co mu matka mówiła... Z dziecinnym uporem bronił się przed rozczarowaniem, które niemile dotykało jego próżność męską...

— Kiedy ja jestem pewny, że mateczka się myli. No, zobaczy mama!...

— Trudno mi cię przekonać dowodnie... Ale do Zalesinek pojedziesz?

— To, jak najchętniej... Zaraz, skoro tylko dostanę urlop. Sądzę, że kłopotów z tem nie będzie, bo chyba oni tam w Zalesinkach mają gdzieś blizko lekarza...

— Naturalnie. Przecież mąż Anielki pozostaje także jeszcze pod opieką lekarską.

Ludwik przeciągnął ręką po czole.

— O, jak mnie też strasznie głowa boli... Wyjdę na miasto, żeby się trochę orzeźwić.

Ziewnął mimowolnie.

— O! Przepraszam mateczkę, ale taki jestem rozklekotany...

— Oj! Na wieś by ci, na wieś jak najprędzej...

Pani Rażycka ucałowała syna, który się chylił do jej ręki, w czoło. Ogarnęła wzrokiem bezmiernej miłości ukochaną głowę...

— Moje szczęście... moje wszystko... mój synuś najdroższy...

Ludwik wyszedł z domu z silnym bólem głowy — pozostałością wczorajszej zabawy i z niemiłem zdenerwowaniem, wywołanem przypuszczeniami matki.

Mimowoli musiał myśleć o istocie tak mało zajmującej, jak Kornelia Witowtówna.

Przesuwały mu się przez myśl pewne drobne fakty, rozmaite charakterystyczne szczegóły.

— A kto wie... może... a to waryatka...

Wstąpił do „handelku“, aby wypić kieliszek wódki. Chciał wybić „klin klinem“, pokonać niesmak i znużenie, które go coraz silniej ogarniały. Środek ten nie okazał się jednak skutecznym. Wódka mu nie smakowała, więc poprzestał na jednym kieliszku.

Przy bufecie spotkał się ze znajomym oficerem i zamienił z nim kilka słów, ale rozmowa go męczyła, pożegnał go więc prędko i wyszedł na ulicę.

Było mu duszno. Chciał odetchnąć świeższem powietrzem poza miastem. Postanowił pojechać tramwajem do Parku Jordana. Zatrzymał się na przystanku i czekał na tramwaj, który, zwyczajem wszystkich poważnych, sennych tramwajów krakowskich, nie spieszył się.

Nagle twarz Ludwika drgnęła zainteresowaniem. Tuż obok niego przesunęła się Hela Lidzińska, bledsza i smutniejsza, niż zwykle, promieniejąca jednak urokiem swych gwiaździstych oczu.

Rażycki, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co czyni, przyłożył rękę do czapki.

Panna odkłoniła się i uśmiechnęła się leciutko.

Jakaś tajemnicza siła sympatyi przebiegła pomiędzy nimi prądem magnetycznym. Trwało to krótką chwilę. Hela zniknęła wśród zieleni plant, a Ludwik pozostał na miejscu.

Nadjechał tramwaj. Rażycki wsiadł do wozu, w którym było zaledwie kilka osób, jak zwykle o tej porze, kiedy urzędnicy są w biurach, kupcy w sklepach, gospodynie przy kuchni, dzieci w szkole — każdy przy swojem zajęciu.

Na najbliższym przystanku wsiadło młode dziewczę z książkami w paskach. Dwa grube bicze jasnych warkoczy opadały na skromną, ciemno-granatową sukienkę.

Panienka była zadyszana i twarzyczkę miała silnie zaróżowioną, widocznie od szybkiego chodu. Niebieskie, śmiejące się, swawolne oczy zmącone były teraz trochę wyrazem jakiejś niepewności i rzucały wokoło nieśmiałe, trwożliwe spojrzenia.

Usiadła w kątku, wtuliła się niemal w róg przedziału, jak gdyby chciała być jak najmniej widziana.

Tramwaj sunął dalej i po chwili zatrzymał się znowu. Teraz wsiadł gimnazyalista, długi, chudy ze ściągłą, nerwową twarzą. Rękawy jego wytartego nieco munduru były już stanowczo dla niego za krótkie.

Źrenice chłopca i panienki rozbłysły. Przywitali się krótkim uściskiem ręki i długiem spojrzeniem.

Gimnazyalista usiadł naprzeciw dziewczęcia. Nie mówili nic do siebie, ale porozumiewali się rozpromienionemi oczyma.

Ludwik uśmiechnął się. Nietrudno mu było odgadnąć treść tej uczniowskiej sielanki.

Młoda parka zdobyła się na ryzykowny krok wyrwania się „za labę“ i wbrew zakazom „starych“ i rozporządzeniom „belfrów“ dążyła na wspólny spacer do parku.

Rażycki spoglądał na nich z rozrzewnieniem i pewną zazdrością, że oto przeżywają oni najcudniejsze chwile, które są dopiero przeczuciem miłości, rojeniem o niej — kiedy wszystko, co brzydkie, złe, brudne, tonie w różowych osłonkach marzenia, w czystości pierwszego kochania, w nieświadomości mętów życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).





Kraków w historycznej chwili: Pochód na Wawel. (Reprodukcya zastrzeżona).

Kraków w historycznej chwili.

Historyczny moment proklamowania niepodległego państwa polskiego Kraków uczcił wspaniałym obchodem w dniu 8. listopada. Udekorowane miasto już od rana przybrało wygląd świąteczny. Pozamykane sklepy, fabryki, biura, a na ulicach rosnące wciąż tłumy świadczyły o uroczystym nastroju mieszkańców. — Wszystkiemi ulicami, wśród szpalerów chorągwi o barwach narodowych spieszyli uczestnicy obchodu przed ratusz, gdzie już o godzinie dziewiątej zgromadzili się zaproszeni goście i delegacye. Piękna listopadowa pogoda sprzyjała uroczystości.

Wzdłuż frontu stanęły cechy z chorągwiami, a przed gmachem kompania Legionów pod komendą kapitana Smolarskiego, grono oficerów Legionów i liczny zastęp pań Ligi kobiet. Od strony kościoła OO. Franciszkanów orkiestry: wojskowa, kolejarzy i zakładu św. Józefa dla osieroconych chłopców. — Naokoło w półkolu delegacye i reprezentacye różnych korporacyi i stowarzyszeń oraz tysiące publiczności.

O godzinie dziewiątej minut trzydzieści prezydent Leo dał znak do pochodu.



Kraków w historycznej chwili: Przy wejściu do katedry na Wawelu: 1) Jenerał Brandner, 2) prezydent Leo, 3) komendant twierdzy jenerał Lukacs.

Muzyka zagrała pieśń Legionów, rozległy się okrzyki: „Niech żyje Polska! Niech żyją Legiony!“, a Legionistów obsypano kwiatami. Olbrzymi pochód, w którym wzięły udział oprócz Legionistów i delegacyi, wszystkie urzędy, stowarzyszenia i korporacye ze sztandarami ruszył ulicą Grodzką na Wawel.

Za oddziałem weteranów z r. 1863 ze sztandarem, szedł brygadyer Piłsudski, w otoczeniu pułkowników: Roji, Sosnkowskiego i grona oficerów legionowych; obok niego kapitan Gaucher z 13. wirtemberskiego pułku piechoty. Pochód zamykał prezydent miasta dr. Leo, komisarz forteczny p. delegat Fedorowicz; szli komendant twierdzy, fmp. Lukacs i komendant wojskowy Brandner, szef sztabu twierdzy krakowskiej, Grimm i sztaby obu komendantów, wreszcie wiceprezydenci miasta, Rada miejska in corpore i magistrat.

Po drodze młodzież szkół tutejszych tworzyła szpaler. — Tysiące mieszkańców Krakowa stało na chodnikach. Oklaskami i okrzykami witano N. K. N. i Legionistów. Na wzgórzu wawelskiem stały gęsto szpalery młodzieży i uczestników uroczystości, że pochód tylko z trudnością mógł postępować. Za-



Pochód w ulicy Grodzkiej



Kraków w historycznej chwili: Cechy ze sztandarami w pochodzie. (Repr. zastrzeżona).

pał doszedł tutaj do najwyższego stopnia, deszcz kwiatów sypał się na brygadyera Piłsudskiego i Legionistów; kwiaty pozostawały na lufach karabinów, czapkach, tak, że Legioniści szli pokryci kwiatami.

legionowych, pułkownik hr. Lamezan; senat akademicki Uniwersytetu Jagiellońskiego z rektorem prof. drem Szajnochą, Rada powiatowa, naczelnicy władz itd.

Uroczystą sumę przed wielkim ołtarzem odprawił książę-biskup Sapieha w asystencyi X. prałata Wągmachem ratuszowym zebrały się tysiące ludności Krakowa; muzyka przygrywała pieśni narodowe. Do sali na II. piętrze spieszyli uczestnicy nabożeństwa w katedrze Wawelskiej, posłowie, delegaci, naczelnicy władz, radcy miejscy, magistrat w kom-





Legioniści i weterani 63 r. w pochodzie. **Kraków w historycznej chwili:** Brygadyer Piłsudski (X) w pochodzie (Repr. zastrzeżona)

Gdy pochód dochodził do katedry, odezwał się królewski Zygmunt. Główne grupy weszły do świątyni, reszta pozostała na zewnątrz; kompania Legionów z muzyką ustawiła się frontem do katedry.

Wewnątrz katedry przed ołtarzem św. Stanisława w środkowej nawie ustawiły się sztandary cechowe i starszyzna cechowa wśród szpaleru Legionistów. W tej nawie i bocznych ustawiły się delegacye. W prezbiteryum w stallach zasiadł X. arcybiskup Symon, X. biskup Nowak i kapituła katedralna. Przed wielkim ołtarzem ks. Hieronim Radziwiłł z małżonką, arcyksiężną Renatą, dalej w dolnych i górnych stallach posłowie, p. delegat Fedorowicz z towarzyszącym mu starszym komisarzem Drem Studzińskim, komendanci Lukas i Brandner, pułkownicy Grimm i Josse, brygadyer Piłsudski z pułkownikami Roją, Sosnkowskim i gronem oficerów dolnego, XX. kanoników Podwina i Nikla. Podczas Mszy św. przygrywała muzyka, a przed podniesieniem odezwała się trąbka wojskowa z hasłem: Baczność. Podczas sumy połączone chóry odśpiewały Mszę na tematach pieśni „Bogarodzica", kompozycyi prof. Walentego Deca, a na „Offertorium" *Gaude Mater Polonia* X. Gorczyckiego. Po nabożeństwie odśpiewano zbiorowo pieśń narodową: „Boże, coś Polskę".

Około godziny 11·30 zakończyły się uroczystości w katedrze. Orkiestry odprowadziły uczestników, grając pieśni narodowe.

Z wieży kościoła Maryackiego trębacze odegrali pięknie hejnały na trąbkach i pieśń „Serdeczna Matko".

Na godzinę 12-tą w południe zapowiedziane było uroczyste posiedzenie Rady miasta Krakowa. Przed plecie. W klatce schodowej ustawiono krzewy, a salę przybrano wspaniale kwiatami, makatami i dywanami. Na trybunie ustawiono wazony z białymchryzantemami, przeplecione czerwonemi wstążkami.

Sala zapełniła się kilkuset uczestnikami. Prezydent Leo wprowadził ks. Hieronima Radziwiłła i jego małżonkę, arcyksiężnę Renatę. W pierwszym rzędzie krzeseł zajęli miejsca: książę-biskup Sapieha, mając z prawej strony X. arcybiskupa Symona, wiceprezesa N. K. N. Wł. L. Jaworskiego, księcia Hieronima Radziwiłła, arcyksiężnę Renatę, pułkownika hr. Lamezana, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. dra Szajnochę; z lewej X. biskupa Nowaka, marszałka krajowego Niezabitowskiego, Zdzisława hr. Tarnowskiego, komendanta twierdzy fmp. Lukasa, pułkownika sztabu jeneralnego Grimma, brygadyera Piłsudskiego, pułkownika Roję, r. dw. Fryderyka



Kraków w historycznej chwili: Delegacye i tłumy publiczności w chwili wyruszenia pochodu z przed ratusza.



Kraków w historycznej chwili: Uroczyste posiedzenie Rady miejskiej



Kraków w historycznej chwili: Brygadyer Piłsudski. (X) w otoczeniu oficerów Legionu, przed wejściem do katedry na Wawelu. (XX) Podpułkownik Sosnkowski.



Kraków w historycznej chwili: Przed siedzibą Naczelnego Komitetu Narodowego przy ul. Gołębiej. (X) Prezes prof. Jaworski.



Kraków w historycznej chwili: Ranni Legioniści przy wejściu do katedry na Wawelu

Zolla, Kazimierza Morawskiego. Wśród tego zgromadzenia odbijały sukmany włościan krakowskich z czerwonemi potrzebami.

Na trybunę wszedł prezydent Leo w stroju polskim i wygłosił mowę, którą zaczął następującemi słowy:

„Polska zmartwychpowstała! Słowa te cudownem echem odbiły się po wszystkich ziemiach polskich, we wszystkich sercach, gdziekolwiek uczucie polskie się kryje, od zapadłych zakątków dalekiego Wschodu do tych krain zamorskich, gdzie polski emigrant marzyć nie przestał o powrocie do ojczyzny. Wszystkich nas przejmuje wzruszenie, jakiego nikt z nas dotąd nie miał szczęścia doznawać. Widzimy, jak rozkuty z kajdan Orzeł Biały rozpościera nad nami, gdziekolwiek jesteśmy, swoje opiekuńcze skrzydła i oto, jak syn z dalekiej i ciężkiej wróciwszy tułaczki, z przedziwnem uczuciem tonie w uścisku matki, tak my jesteśmy dzisiaj jak dzieci, którym wróconą została opieka i pieszczota rodzonej Matki Ojczyzny.

Na zamku królewskim w Warszawie od niedzieli pamiętnej powiewają polskie sztandary państwowe. Każdy z nas widzi je oczyma duszy, która rwie się ku nim. Każdy z nas wpatruje się w te symbole najdrogocenniejsze, jako w niemylne znaki końca męczarni, niewoli i ucisku, początku dobrej, jasnej — daj Boże — świetnej przyszłości.



Kraków w historycznej chwili: Tłumy w czasie obchodu przed ratuszem.

W takiej chwili dusze i serca, radością wezbrane, szukają dla niej wyrazu. Lecz znaleźć go niełatwo. Niełatwo bowiem objąć dzisiaj umysłem ogrom tej epokowej zmiany, która w dniu 5. listopada dokonała się w życiu naszego narodu. Więcej uczuciem i intuicyą odgadywać niż rozumem przewidywać dzisiaj możemy, którędy pójdzie droga rozwoju narodowego, dzisiaj tak szeroko rozwarta, jaką przyszłość i jakie zadania chowają przed narodem naszym niezbadane wyroki Opatrzności.

To jedno tylko już dzisiaj wiemy i widzimy zupełnie jasno: oto wraz z nowymi warsztatami pracy, które logika dziejowego rozwoju przed nami postawiła, spadły na nas wszystkich i na każdego z osobna zupełnie wyjątkowe obowiązki. Obowiązki spotęgowanej aż do całkowitego samozaparcia się ofiarności w pracy dla odrodzonej Ojczyzny, obowiązki potrojonych wysiłków na wszystkich polach zbiorowego życia.

Rozdarci, przetrwaliśmy przez pięć pokoleń bez własnego domu, własnego rządu, własnego państwa. A jednak mimo najcięższych warunków naród, jako taki, nie tylko nie zginął, ale się rozwijał, rozrastał, żył coraz to pełniejszem, bujniejszem życiem zbiorowem. Ratowały nas owe idealne, duchowe siły, wcielające się w cudowne dzieła duszy polskiej w sztuce i literaturze, żywotności języka, w dziełach polskiego patryotyzmu, poświęcenia, polskiego bohaterstwa."

Omówiwszy następnie wysiłki i pracę społeczeństwa polskiego nad odbudowaniem Polski i złożywszy hołd bohaterskim Legionom, prezydent Leo zakończył swe przemówienie następującemi słowy:

„A teraz zwróćmy się myślą tam, dokąd serca nasze się rwą, ku stolicy państwa polskiego, ku Warszawie, która jaśnieje dzisiaj w blaskach wschodzącej zorzy wolności. Najgorętsze życzenia rodzącemu się państwu polskiemu i jego przez nas wszystkich ukochanej stolicy. Wraz z dźwiękami królewskiego Zygmunta, stąd z pod stóp Wawelu, ze stolicy Piastów i Jagiellonów, niechaj rozlegnie się głos powitania długo oczekiwanego i śnionego najmilejszego gościa. Wiemy, że oczekuje go Polska, że tęskni do niego Warszawa. Więc niechaj rozlegnie się, niechaj go fale naszej Wisły zaniosą aż tam pod Zamek królewski w Warszawie i niechaj go tam wszyscy usłyszą, bo to głos bezgranicznej miłości stołecznej miacierzy Polski, bo to głos królewskiego Krakowa. Niech żyje wolne państwo polskie! Niech żyje jego stolica, Warszawa!"

Następnie prezydent odczytał tekst adresu do cesarza, poczem zamknął zebranie okrzykiem: „Niech żyje niepodległa Polska!"

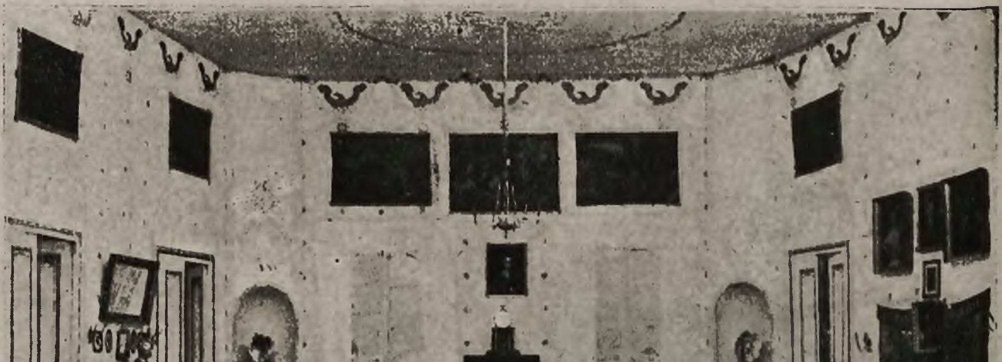
Po posiedzeniu Rady miasta, prezydent dr. Leo udał się na balkon ratuszowy i tu, w otoczeniu marszałka krajowego Stanisława Niezabitowskiego, księcia Andrzeja Lubomirskiego, księcia Hieronima Radziwiłła i arcyksiężnej Renaty, marszałka Skrzyńskiego, wiceprezydentów miasta, posłów i grona włościan przemówił z balkonu do zgromadzonych przed ratuszem, kończąc okrzykiem: „Niech żyje Polska, niech żyją Legiony!" Wychodzącemu z gmachu Piłsudskiemu i oficerom Legionów urządzono gorącą owacyę.

Obchód zakończyło galowe przedstawienie w teatrze im. Juliusza Słowackiego, które zgromadziło o godzinie 7 ej wieczorem ponownie wszystkich uczestników uroczystości. Dla brygadyera Piłsudskiego przeznaczono lożę parterową, ozdobioną zielenią. Na zaproszenie prezydyum miasta, zajął jednak brygadyer razem z pułkownikiem Sosnkowskim i porucznikiem Wieniawą miejsce w loży prezydenta. Przedstawienie poprzedziła podniosła manifestacya patryotyczna. Na scenie pod sztandarem teatrów miejskich zebrał się cały personal artystyczny i techniczny z dyrektorem Siedleckim na czele, oraz grono autorów dramatycznych. Orkiestra zaintonowała hymn „Boże coś Polskę", który publiczność stojąc odśpiewała z zapałem. Po przebrzmieniu pieśni, artysta dramatyczny p. W. Nowakowski wygłosił prolog, napisany przez Kazimierza Tetmajera, witający w podniosłych słowach świtającą zorzę wolności, zakończony apelem do wiary w siły narodu i otuchy. Pod wrażeniem pięknych słów poety, obecni spontanicznie wznieśli okrzyk „Niech żyje Polska", który powtórzony kilkakrotnie zamienił się wkrótce w gorącą owacyę dla twórcy polskiej siły zbrojnej, komendanta Piłsudskiego. Entuzyastyczne okrzyki wybuchały wiele razy.

Teatr im. Słowackiego nie miał w tym czasie w repertuarze żadnego dzieła wielkiej poezyi narodowej, dostrajającego się do wyjątkowego momentu. Nie chciał zaś widocznie dorywczo przygotowanem przedstawieniem wystąpić nieodpowiednio. Wybrano więc raczej dzieło pogodnie wesołe, tchnące jednak tak wielkiem pięknem swojskiej poezyi, jak „Śluby panieńskie". Przypadek zdarzył, że arcydzieło komedyi polskiej wznowione było świeżo w sposób, który je czynił godnem tak uroczystego przedstawienia. Dyrektor Siedlecki w swoim, zasługującym na najwyższe uznanie pietyźmie dla polskiego repertuaru, dał dziełu Fredry oprawę sceniczną, jakiej mu nie dał zapewne jeszcze żaden teatr polski. Autorem planu tej niebywale świetnej inscenizacyi jest p. Teofil Trzciński, który znalazł wybornego wykonawcę swych pomysłów w p. Z. Wierciaku, dekoratorze teatrów miejskich. Doskonały zespół wykonawców komedyi, podniecony wrażeniami chwili, dał „Ślubom" wyraz szczerego przejęcia, tak, że ze sceny szedł wiew pogodnej rodzimej poezyi, który był jasnym epilogiem niezapomnianego dnia.

Podobny obchód odbył się w teatrze ludowym, gdzie przed przedstawieniem „Ułanów księcia Józefa" wygłoszono ten sam prolog K. Tetmajera, złączony z hymnem narodowym. I tu panował również przez cały wieczór nader podniosły nastrój.





Kraków w historycznej chwili: Uroczyste przedstawienie w Teatrze miejskim

Wykonawcy „Ślubów panieńskich", pp: Solska, Stanisławski, Jarszewska, Leszczyński, Kosmowska, Feldman

Dekoracya „Ślubów panieńskich" pomysłu p. T. Trzcińskiego.

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

2

— Więc w ostatnich czasach nie przyjmował nikogo?

— Przepraszam pana komisarza, źle się wyraziłem, mówiąc w ten sposób. Jeden pan tu przychodził.

Mówiąc to Moniche spojrzał na żonę, jak gdyby chcąc, aby ona mówiła dalej.

— Co za pan?

Pani Moniche wstrząsnęła tylko głową w milczeniu i rzuciła na męża niespokojne spojrzenie.

— Dlaczego nie odpowiadacie? — nalegał komisarz — O kim mówiliście?

W tej chwili Bernardet, który, stojąc na progu salonu, badawczo oglądał bibliotekę pana Rovere, nie tracąc ani jednego słowa z rozmowy, przybliżył się cicho i stanął obok Moniche'a.

— Jaki pan? O jakim panu chcecie mówić? — pytał dalej komisarz podrażnionym już głosem, zauważywszy dziwne wahanie się dozorcy i jego żony.

Ale żadne z nich nie zdradzało ochoty do dalszego mówienia.

— Cóż to ma znaczyć? — zauważył komisarz — Cóż to za tajemnica?

— A no, proszę pana komisarza — zdecydowała się nareszcie pani Moniche, — oto rzecz cała. Może to w gruncie rzeczy będzie bez znaczenia, ale może się panu komisarzowi przyda do śledztwa. — Nie chcieliśmy mówić, bo może to rzucić podejrzenie na najniewinniejszego człowieka, ale skoro pan komisarz tego żąda... Mów, Moniche...

— Jednego dnia, proszę pana komisarza — zaczął Moniche — wieczorem, jakiś pan zapytał się w loży o pana Rovere, poszedł do niego i bawił tam dosyć długo.

— Jak wyglądał ten pan?

— Bardzo przyzwoicie. Starszy już był i ubrany był bez zarzutu. Zona moja, która w jakiś czas później poszła zaświecić gaz na schodach, widziała, jak ten pan wychodził od pana Rovere i był bardzo zmieszany. Blady był i miał silnie zaczerwienione oczy.

— Czy znacie nazwisko tego pana?

— Zona moja kilkakrotnie chciała je poznać, a raz gdy wprost zapytała pana Rovere, jak się nazywa ten pan, który go odwiedza — pan Rovere odparł ostro: „A cóż to może was obchodzić?“ I naturalnie moja żona już się więcej o to nie pytała i jakoś niechętnie patrzała na tę nową znajomość naszego lokatora.

— Instynkt, panie komisarzu! — westchnęła głęboko pani Moniche — Przeczucie mówiło mi...

— Gdybyśmy się mieli kierować przeczuciem — przerwał pan Desbriere — ładne głupstwa by z tego wynikły...

— Panie komisarzu! — przerwała urażona cokolwiek pani Moniche — To nie były tylko przeczucia.

— Oh, oh! Cóż więc takiego było? — proszę mówić.

Bernardet nie spuszczał oka z dozorczyni i jej męża podczas całego badania, od czasu do czasu tylko wzrok jego przechodził na zwłoki zamordowanego i wtedy silna zmarszczka występowała na jego czoło, jak gdyby przeczuwał w myśli trudny jakiś problem do rozwiązania.

— Jak wiadomo panu komisarzowi — zaczęła dozorczyni — miałam zawsze i o każdej porze wstęp wolny do mieszkania naszego lokatora, bo byłam i jego gospodynią, lektorką i, mogę powiedzieć, prawie powierniczką. Pan Rovere był gwałtownym, ale w gruncie bardzo dobrym człowiekiem. Kiedy wchodziłam do niego nie w oznaczonych godzinach, niespodziewanie, jak się mi to niekiedy zdarzało, witał mnie zawsze słowami: „Co tam nowego, pani Moniche? Poco się pani trudziła? Nie potrzebuję niczego!“ — Bo, proszę pana komisarza, chociaż dzwonek łączył nasze mieszkania i pan Rovere mógł mnie zawezwać w każdej chwili, wchodziłam do niego, nie czekając na wezwanie.

— A w jakimże to celu, pani Moniche?

— Mój Boże, byłam bardzo przywiązana do pana Rovere i żal mi go było, kiedy zaczął chorować. Przychodziłam więc ogień poprawić, aby się nie przeziębił lub przygotować mu szklankę herbaty. Otóż, jednego wieczoru, na dwa dni przed zbrodnią, przyszłam, jak zwykle, i zastałam w gabinecie mojego lokatora tego pana. Stali obydwaj przed kasą ogniotrwałą pana Rovere, która była otwarta i przeglądali jakieś papiery. Pan Rovere był blady. Tamten pochylał się nad nim i chciwie patrzał na papiery.

— Co to były za papiery? Czy pani je dobrze widziała?

— Doskonale. To były akcye wartościowe, kupony takie, jakie widywałam w bankach. Stanęłam zdumiona na progu, a pan Rovere na mój widok silnie brwi zmarszczył i uczynił ruch, jak gdyby chciał schować papiery. Ja wtedy cofnęłam się, przepraszając pana Rovere, ale zobaczyłam doskonale zawartość kasy. Dużo tam było takich papierów, i żółtych i niebieskich, większych i mniejszych.

— Czy pan Rovere mówił co do pani?

— Nie, ale wydawał mi się być w bardzo złym humorze.

— A tamten?

— Tamtem, także był taki blady. Podobni zresztą byli do siebie. Może to był krewny pana Rovere. Spostrzegłam tylko jego niezadowolone i gniewne spojrzenie, kiedy wchodziłam do pokoju. Zeszłam tak zmieszana do naszej loży, że Moniche zauważył to i opowiedziałam mu zaraz wszystko.

— Czy ten pan jeszcze powrócił?

— Powrócił jeszcze nazajutrz i długi czas rozmawiał z panem Roverem. Byłam w drugim pokoju i zauważyłam, że mówili przyciszonymi głosami.

— Czy nie dosłyszała pani jednak jakiego słowa?

— Przysłuchiwałam się dosyć ciekawie — przyznała się z całą naiwnością pani Moniche — ale mówili tak cicho, że tylko lekki szmer głosów mnie dochodził. Ale kiedy wkońcu tamtem opuścił pokój, usłyszałam jak pan Rovere rzekł do siebie:

— Powinienem był wszystko wcześniej powiedzieć!

Pani Moniche mówiła dalej jeszcze, jąkając się, wzdychając, wahając się i w słowach jej Bernardet, przysłuchujący się uważnie, wyczuł jawne, chociaż maskowane przestrachem odpowiedzialności, oskarżenie. Ilekroć zaś słowa jej stawały się wyrazistsze, Moniche interweniował wzrokiem i mówił surowo:

— Nie wolno ci jeszcze tak sądzić. Czas wszystko pokaże. Ten pan miał wygląd bardzo porządnego człowieka.

A wtedy pani Moniche szerokim giestem wskazywała rozciągnięte zwłoki na ziemi i mówiła:

— A on! Pan Rovere! Czy nie miał wyglądu zacnego i porządnego człowieka! A przecież leży tutaj zamordowany podle, jak ulicznik jaki, albo apasz.

Bernardet, słysząc to, uśmiechnął się lekko.

— Pan Rovere i teraz także ma wygląd zacnego człowieka — rzekł, patrząc na zmarłego — Zdaje się nawet patrzeć odważnie na morderców swoich. Jestem przekonany, że gdyby można odgadnąć ostatnią myśl tego mózgu, który już przestał funkcyonować i przejąć z tych oczu zamarłych ostatni, odbity w nich obraz — to wiedzielibyśmy, w jaki sposób dokonano zbrodni i kto był jej sprawcą!

— A może pan Rovere popełnił samobójstwo — poddał komisarz policyi.

Ale Bernardet odrzucił kategorycznie tę hypotezę, wykazując jej niemożliwość. Rana była zanadto głęboką, aby być zadaną własnoręcznie, a zresztą odnalezionoby broń, którą się pan Rovere posłużył. A musiał nią być nóż duży lub sztylet, tymczasem nic podobnego w zbiorze nie znaleziono. Morderca, dokonawszy czynu, uniósł ją ze sobą i prawdopodobnie gdzieś po drodze porzucił. Tę rzecz, jak twierdził Bernardet, należało wyjaśnić jak najprędzej.

— Tak, pan Bernardet ma słuszność! — przyznał po chwili zastanowienia komisarz — Samobójstwo w tych warunkach jest wykluczone, jednakże pomimo tego zwłoki muszą podledz oględzinom lekarskim.

Ku wielkiemu jednak zdziwieniu komisarza Bernardet usilnie nalegać począł, aby jak najprędzej zawezwano generalnego prokuratora i wysłano zwłoki do Morgi.

— Biedny nasz pan! — oburzała się pani Moniche — Wystawiony ma być w Mordze, jak pierwszy lepszy włóczęga!

— To jest konieczne — obstawał przy swojem Bernardet — i trzeba to uczynić jak najspieszniej. Zresztą to jest prawo. Pani Moniche, proszę nie czynić żadnych uwag w tym względzie. Panie komisarzu — dodał, zwracając się do pana Desbuere — błagam pana, działajmy szybko. To jest konieczne. Powiem panu, dlaczego. Mam myśl pewną. Im prędzej zwłoki wystawione zostaną, tem prędzej odnajdziemy winnego.

Komisarz, naglony w ten sposób, bezzwłocznie wysłał jednego z ajentów do biura telefonicznego, celem uprzedzenia prokuratora, a pani Moniche, nie mogąc zrozumieć takiego barbarzyństwa, jak się wyrażała, wywodziła dalej żale swoje przed reporterem, notującym coś zawzięcie na ćwiartce papieru.

Tymczasem czas upływał, a poza oknami mieszkania gwar zbitego tłumu wzmagał się, dochodząc aż do salonu, gdzie leżał zmarły. Komisarz przy małym stoliku oświetlonym świecą, bo story wszystkie były szczelnie pozapuszczane — pisał raport, od czasu do czasu zwracając się do ajenta Bernardeta o szczegół jakiś.

Ajent był zniecierpliwiony długiem oczekiwaniem na prokuratora i przechadzał się nerwowo po pokoju potrącając meble.

Pozatem cisza głęboka osiadła w mieszkaniu pana Rovere, a ci sami ludzie, którzy jeszcze przed chwilą głośno i gorączkowo objaśniali komisarza, mówili teraz szeptem stłumionym, jak gdyby nie chcąc zakłócić spokoju leżącemu pośród nich zmarłemu.

Nagle silny odgłos dzwonka zmącił tę ciszę. Bernardet odetchnął.

— To zapewne pan prokurator — objaśnił z zadowoleniem. Poczem spojrzał na zegarek i dodał:

— Dzięki Bogu, pozostaje nam jeszcze dosyć czasu.

Był to rzeczywiście prokurator, któremu towarzyszył sędzia śledczy, pan Ginory, znany ze swojej surowości dla przestępców. Bernardet znał ich obydwóch. Nieraz już był zawezwany przez prokuratora, pana Jakóba des Andrays i „pracował“ z nimi w odkryciu jakiejś sprawy. Wiedział, że pan Ginory był człowiekiem sprawiedliwym i dobrym, chociaż obawiano się go bardzo. Pan des Andrays zaś był człowiekiem już starszym o młodzieńczym wyglądzie. Postawę miał wyniosłą, urzędową brodę starannie rozczesaną na dwie strony i małe, wypłowiałe oczy, zasłonięte okularami. Mówiono o nim, że jest bardziej elegancki, niż zdolny.

Pan Ginory podszedł prosto do zwłok i kazał sobie opowiedzieć szczegóły morderstwa, prokurator zaś odczytywał raport zredagowany przez komisarza i z zadowoleniem kiwał głową, uśmiechając się przytem uprzejmie.

Bernardet, widząc wchodzących zwierzchników, skłonił się z uszanowaniem i natychmiast podszedł do pana Ginory, prosząc go oczami o porozumienie się na osobności.

Pan Ginory zrozumiał to natychmiast.

— Ah! To ty, Bernardet! — rzekł życzliwie. — Chcesz ze mną pomówić?

— Tak, panie sędzio — odpowiedział ajent. — Ale oprócz tego chciałem prosić pana, aby natychmiast te zwłoki odesłano do sali prosektoryum.

Mówiąc to, lekko pociągnął za rękaw sędziego, prowadząc go ku oknu, zdala od reszty towarzystwa.

— Cóż to za tajemnica, Bernardet? — zapytał sędzia.

— Nie tajemnica, tylko doświadczenie pewne do przeprowadzenia i wiem, że taki człowiek, jak pan, panie Ginory, musi się niem zainteresować.

Bernardet znał dobrze swojego zwierzchnika. Był przekonany, że nie cofnie się nigdy, kiedy chodziło choćby o najtrudniejsze zadanie, mogące przyjść z pomocą wyrokom sprawiedliwości.

Słowo „doświadczenie“ wywołało wyraz zaciekawienia na twarzy sędziego.

— Co przez to rozumiesz, Bernardet — zapytał.

Bernardet pokręcił głową, dając tem do zrozumienia, że wyjaśnienie będzie długie. Nie byli przecież sami — ktoś mógł podsłuchać i, gdyby dowiedziano się o niezwykłem przedsięwzięciu...

— Ah! — przerwał komisarz. — Więc to coś nadzwyczajnego? Cóż to wymyśliłeś znowu, Bernardet?

— Ktoś inny, panie Ginory, uważałby mój pomysł za niedorzeczny, ale pan, to co innego. Oh! nie mówię dlatego, aby panu pochlebić, mówię zupełnie szczerze, pan weźmie tę rzecz poważnie, a drugi, mógłby mnie wyśmiać.

Pan Ginory chwilę bacznie obserwował tego małego, niepozornego człowieka o dobrodusznej twarzy, w której tylko oczy świeciły niezwykłą intelligencyą i energią i poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

— Co to za pokój? — zapytał po chwili, wskazując na otwarte drzwi do biblioteki. Do czego on służył?

— To pracownia pana Rovere.

— Wejdźmy tam.

Wchodząc do pokoju, pan Ginory machinalnie obrzucił spojrzeniem szafy, pełne książek i, usiadłszy we fotelu, skinął na ajenta, dając mu do zrozumienia, że gotów jest go wysłuchać.

— Panie sędzio — rzekł Bernardet z uszanowaniem — przedewszystkiem muszę pana przeprosić, iż jestem zmuszony dać panu pewną radę, a następnie wystąpić z prośbą. Znam dobrze różnice, jakie nas dzielą, ale jestem również ciekawy, jak pan sędzia i żądny wiedzy, chociaż do żadnej instytucyi naukowej nigdy nie należałem...

— No, no Bernardet... mów dalej...

— Pan będzie kiedyś sławnym człowiekiem, panie Ginory...

— Bernardet, przestań, bo się pogniewam na ciebie.

— Zupełnie niepotrzebnie, panie sędzio. Wiem, co mówię. Czytałem nadzwyczajne prace pana. Stoi pan na najwyższym szczeblu mądrości, bo łączy pan wielką wiedzę z zamiłowaniem sprawiedliwości i sądownictwa. Ja zaś, chociaż stoję o wiele niżej od pana, i chociaż jestem po największej części tylko wykonawcą cudzych rozkazów, interesuję się gorąco tem, co pana zajmuje.

— Wiem, Bernardet, że jesteś najlepszym z naszych ajentów. Pan Leriche często wspomina o tobie.

— Tak. Pan Leriche jest bardzo dobrym dla mnie. Ale to, co mówię, nie jest w tym celu, aby wywołać uznanie pana, panie sędzio, ale, aby wzbudzić jego zaufanie do mnie, bo to, co mam panu powiedzieć, jest tak dziwne... tak dziwne...

— Bernardet, zrozum, że mnie nic zadziwić już nie może.

— Gdybym to powiedział jakiemu lekarzowi — ciągnął dalej ajent — zaręczam panu, że kazałby mnie zamknąć w domu zdrowia. Otóż, panie sędzio, czy przypomina pan sobie, że kilka lat temu dzienniki amerykańskie zajmowały się gorąco odkryciem, uczynionem przez jakiegoś badacza fotografa? Twierdził on, że dzięki pewnym skomplikowanym zdjęciom fotograficznym odnajdywał w źrenicy zamordowanego człowieka, dokładny obraz jego mordercy.

— Tak, przypominam sobie, ale ja w to nigdy nie wierzyłem.

— Oh! Panie Ginory! — zawołał Bernardet — ale ja wierzyłem i starałem się rzecz tę zbadać dokładnie. Przecież doszliśmy do tylu cudownych wynalazków! Amerykanie to dzielni ludzie i idą szybko z postępem czasu. Doszliśmy już do tego, że aparat fotograficzny wielkie oddał usługi przy seansach spirytystycznych, dlaczegoby i to było niemożliwe? Pan się śmieje ze mnie, panie Ginory — nieprawda?

— Przeciwnie, mój Bernardet — słucham cię z całą uwagą. Może masz słuszność. Postęp w ostatnich czasach, z rzeczy poprostu nadzwyczajnych i tajemniczych uczynił coś, co każdy przyswoić sobie może. Przyznam ci się tylko, że nie uwierzyłem w to odkrycie, o którem wspominasz; może dla tej przyczyny, że się niem nie zajmowałem.

— Widziałem podobne zdjęcia, panie sędzio! Uczynione były na kobiecie zamordowanej w tajemniczy i nieodgadnięty sposób. Obraz był mglisty i bardzo niewyraźny, ale czyż niema zwierciadeł niezbyt jasnych, które jednak odbijają postać przed niemi się znajdującą? Panie sędzio! To — co dziś wydaje nam się być szaleństwem — jako udoskonalone, może być prawdą rzeczywistą!

— Czytałem jednak o wielu nieudanych próbach — wyrzekł pan Ginory! — Lekarze i wielu ludzi poważnych wyśmiewali to odkrycie!

— Ludzie się śmieją zazwyczaj z tego, czego pojąć nie mogą — odparł, przejęty swoją sprawą ajent... A jednakże. panie sędzio... gdyby to było prawdą!

— Więc i ty, Bernardet, nie jesteś całkiem tego pewny? — zapytał sędzia, patrząc z zaciekawieniem na ajenta.

— Nie, pan się myli, panie Ginory! Ja jestem pewnym! I, wie pan, co? Zdaje mi się, że pomimo zaprzeczeń lekarzy i innych, pan jednak ma pewne wątpliwości co do prawdy ich dowodzeń. Czy się mylę? Czytam to w oczach pana!

— Widzę, Bernardet — zaśmiał się sędzia — że źrenicy ludzkiej przyznajesz moc niezwykłą i stajesz się odgadywaczem myśli.

— Nie, panie sędzio! Ale wierzę w rozum i intelligencyę pana i wiem, że podobne rzeczy nie mogą dla pana być obojętne. Przed chwilą, kiedy patrzałem w te straszne, wymowne oczy zamordowanego, pomyślałem, że w nich jest zawarta tajemnica, której my długo szukać możemy bez skutku. Czy widział pan te oczy, panie Ginory? One mówią, one oskarżają same!... Te oczy widzą!... Widzą coś, co jest dla nas niedostrzegalne jeszcze. I niech się pan śmieje ze mnie, panie sędzio, ale wierzę i przysięgnę na to, że zachowały na soczewce ostatniego człowieka, widzianego za życia, a tym człowiekiem jest morderca!

— Bernardet! Bernardet! Jesteś szalonym człowiekiem!

— To może być! Oglądaliśmy wszyscy zwłoki zamordowanego, nieprawdaż, panie Ginory — widzieliśmy okropną ranę zadaną w szyję, skonstatowaliśmy śmierć! Ale nikt nie dojrzał tego, co mieściło się w zamarłych oczach pana Rovere! Należy te oczy zapytać o ich tajemnicę — wywołać z nich obraz, w nich zawarty, a cała sprawa rozwiązaną zostanie.

— Jesteś strasznie uparty, Bernardet!

— O tak, panie sędzio, uparty i cierpliwy. Uczyniłem już zdjęcia z twarzy zmarłego, a teraz, za przyzwoleniem pana, chcę podjąć zdjęcie z soczewki. One nam odkryją tajemnicę śmierci pana Rovere! A zresztą, gdybym nawet uległ pomyłce. Czy istnieje jaki ważny powód do zaniechania tej próby? Zwłoki mają być odesłane do prosektoryum — nieprawdaż — tam będą krajane, badane, poniewierane!... Czy moja próba będzie bardziej uwłaczająca im? Ah! panie sędzio! Gdybym ja miał tę wolność działania, jaką pan posiada!

Pan Ginory podniósł na ajenta spojrzenie życzliwe i pełne uznania. Słowa jego poruszyły go żywo. Kto wie? Ten człowiek prosty i zamiłowany w swoim zawodzie miał może szłuszność!

— Uspokój się, Bernardet! — rzekł poważnie. Pomówimy jeszcze o tem.

Słowa te były już prawie zezwoleniem.

— Skończmy przedtem jednak śledztwo, tu rozpoczęte. — dodał po chwili sędzia — Wiesz, że czekają na mnie tam obok.

Kiedy Ginory i ajent powrócili do salonu, prokurator właśnie pytał się o sędziego i dziwił się jego długiej nieobecności. Śledztwo było już na ukończeniu i prokurator przystąpił do pana Ginory, mówiąc mu o spostrzeżeniach osobistych, poczynionych przy oględzinach zwłok. Twierdził, że morderca musiał należeć do tak zwanych „fachowych“. Rana zadana była z niezwykłą zręcznością i pewnością siebie.

— Nie zdziwiłbym się — dodał — gdyby morderca był rzeźnikiem. Uderzenie jest śmiałe i zadane z pewną rutyną.

— Możliwe — odpowiedział pan Ginory — ale w tych rzeczach nigdy na pewno twierdzić nie można.

Poruszony jeszcze rozmową z ajentem, pan Ginory stanął naprzeciw zwłok i badawczo wpatrzył się w twarz zmarłego. Bernardet miał słuszność, oczy te ożywione były wyrazem strasznej jakiejś groźby i jakby błagały o wymiar sprawiedliwości.

Ale komuż one grozić mogły z taką siłą i uporem? A jeżeli rzeczywiście, tak, jak przypuszczał Bernardet, zachowały one obraz mordercy? Jeżeli ten obraz dokładny i oskarżający rysował się w źrenicy rozszerzonej bólem i rozpaczą? Przecież ten zmarły z tem wymownem, przenikającem spojrzeniem był świadkiem najwiarygodniejszym w własnej sprawie! Mógł potępić, oskarżyć i wskazać najdokładniej swojego mordercę.

Pan Ginory przesunął ręką po czole, chcąc odpędzić dziwne myśli, kotłujące mu pod czaszką. — Twarz jego wyrażała silne zainteresowanie i napięcie. Przypatrujący mu się z boku Bernardet uśmiechnął się z zadowoleniem. Słowa jego przyniosły pożądany skutek. — Po chwili usłyszał, jak sędzia mruknął do siebie przez zęby:

— Ależ to szaleństwo! Istne szaleństwo! Ale przecież pomyśleć nad tem muszę!

Nadzieja wstąpiła w duszę ajenta. Wiedział już teraz, że pan Ginory zajmie się jego próbą.

— Zdaje mi się, żeśmy wypełnili wszystko, co do nas należało — rzekł, podchodząc, prokurator — Nie mamy tu już nic więcej do roboty.

— Oczywiście — przytaknął machinalnie pan Ginory, budząc się z zamyślenia.

Postanowiono, że zwłoki bez straty czasu odesłane zostaną do Morgi. Pani Moniche, która ani na chwilę nie opuściła salonu, zaczęła na nowo biadać i złorzeczyć temu „niegodnemu“ prawu.

Ale nikt nie zwracał uwagi na jej słowa.

Jeden z ajentów pobiegł po powóz, mający przewieźć ciało pana Rovere i wkrótce przed domem, gdzie dokonano zbrodni, pozostało tylko dwóch stróżów bezpieczeństwa, mających za zadanie śledzić wchodzących i wychodzących z domu.

— Czy otrzymam pozwolenie od pana sędziego? — szepnął uparty Bernardet w chwili, gdy tenże zabierał się już do odejścia.

— Bądź z aparatem w Mordze — brzmiała krótka odpowiedź

Pan Ginory nie bez przyczyny ulegał tak łatwo prośbie ajenta. Działalność jego i poświęcenie dobrze mu były znane. On to przecież przepędził całą noc zimową, skulony na ławce, udając pijaka, aby nazajutrz nad rankiem przychwycić i dostawić do aresztów policyjnych zbrodniarza, uzbrojonego od stóp do głowy. Ten sam Bernardet, raz znowu, pokonał człowieka, który był postrachem wielu dzielnic Paryża, przezwanego „Bawołem“, człowieka o kolosalnej postawie i sile. Nie posiadając żadnej broni przy sobie, spotkawszy go raz w nocy w winiarni odludnej, przytknął mu szyjkę butelki do skroni, mówiąc: Poddaj się, bo ci głowę roztrzaskam w tej chwili. I tamten, zaskoczony pewnością siebie ajenta i jego odwagą, dał mu się zaprowadzić, dokąd chciał.

I wiele podobnych wypadków złożyło się, aby wyrobić Bernardetowi opinię dzielnego i obowiązkowego ajenta.

Bernardet po odejściu władz policyjnych z domu przy bulwarze Clichy, zamierzał powrócić do siebie.

Żal mu było żony i córek, którym mimowoli zakłócił dzień, poświęcony zabawie i odpoczynkowi.

Ujrzawszy go, wszystkie podbiegły do niego z oznakami wielkiej radości.

— Ojciec, ojciec powrócił! — wołały dziewczęta, skacząc wokoło niego.

Ale pani Bernardet, spojrzawszy na zamyśloną twarz męża, zrozumiała, że ten dzień znowu był dla nich stracony.

— Mam wiele do roboty — rzekł ajent, zasiadając do zastawionego stołu — Pójdę zaraz do swojego pokoju i będę pracować.

— Pracować? Dzisiaj? W dzień twoich imienin? — oburzyła się pani Bernardet — Dziś właśnie powinieneś odpocząć.

— Odpocznę po obiedzie. Do tego czasu nie przeszkadzajcie mi, moje kochane.

— Więc mam ci przygotować lampę? — zapytała żona, zrezygnowana już.

— Tak, moja kochana, przygotuj lampę.

Nikt z domowników nie wchodził nigdy do pracowni Bernardeta. Kiedy zamykał się w niej, córki jego mówiły zasmucone:

— Nie istniejemy już dziś dla ojca. Poszedł „pracować nad zbrodnią“.

Dnia tego dłużej, niż zazwyczaj, przebywał w swojem osamotnieniu. Pani Bernardet kilkakrotnie podchodziła do drzwi z zapytaniem, czy już obiad podać można. Otrzymywała niezmienną odpowiedź:

— Jeszcze nie. Za chwilę wolnym będę.

Bo też Bernardet pracował zawzięcie tego wieczora. Powyciągał z biurka niezliczoną moc papierów, broszur, raportów medycznych i zagłębił się w nich, zapominając o całym świecie.

Wszystkie te papiery traktowały o zbrodniach niegdyś popełnionych, któremi zajęli się znani profesorowie medycyny, przystosowując do nich próbę zdjęć fotograficznych z źrenicy zamordowanych.

Wiele z nich nie odniosło żadnego rezultatu. — Czytając te akta Bernardet brwi zmarszczył i na twarzy jego osiadał wyraz zwątpienia.

— „Zrenice psa uduszonego“ — brzmiało pewne sprawozdanie doktora Vernois — „W chwili agonii zwierzęcia trzymano przed jego oczami zegarek złoty. — Próby fotograficzne nie wykazały nic zgoła“...

— „Zrenice kota zatrutego“. Postawiono zwierzę w ostatniej chwili przed sztucznie wytworzonym szczurem. — Bez rezultatu.

I wiele jeszcze było podobnych przykładów bezowocnych zupełnie.

Bernardet odrzucał z niechęcią papiery i podejmował drugie.

— „Próby, dokonane na ludziach zamordowanych“ — sprawozdanie tegoż doktora Vernois — Morderstwo dokonane na młodej kobiecie i jej dziecku. Poczyniono zdjęcia w dwie godziny po śmierci. Zrenice dziecka nie wykazały nic zupełnie, natomiast w źrenicach matki odnaleziono odbicie psa i niejasną sylwetkę człowieka. Dochodzenia dowiodły, że w chwili popełnienia morderstwa duży pies znajdował się w pokoju i przybiegł na ratunek.

— To są próby z lat ubiegłych — myślał Bernardet — Ale system fotograficzny obecnie uległ wielu udoskonaleniom i przeobrażeniom. Z dniem każdym postępujemy naprzód.

I napowrót zabierał się do przeglądania papierów, odrzucając niektóre, nad innymi zastanawiając się głębiej.

— Dlaczego uczeni nie zajęli się głębszem zbadaniem tej ciekawej sprawy? — myślał Bernardet — To wszystko, to pobieżna robota. A jednak czuję, że jest tu coś do zrobienia, coś do pogłębienia i wykrycia.

Bernardet pod wpływem budzących się myśli, gorączkował się coraz silniej. Silne wypieki wybiegły na twarz jego zazwyczaj pogodną i dobroduszną. Jakieś silne, niezwalczone przekonanie wstępowało w niego, budząc energię i otuchę do czynu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z tygodnia.

Piłsudski do Legionistów.

Jak doniosła „Nowa Reforma“ z Warszawy, na uroczystem zebraniu urządzonem tam ku czci Legionistów, rektor Brudziński odczytał list, który nadesłał Piłsudski na ręce pułkownika Berbeckiego. List ten z datą 5. b. m. brzmi:

„Kochany Pułkowniku! Po raz pierwszy w tej wojnie światowej dzisiaj w miastach naszych publicznie z ust przedstawicieli wielkich armii narodów, padają zapomniane poza Polską słowa: Niepodległość Polski, rząd polski, wojsko polskie! Za te słowa ongiś umierali na polach bitew nasi ojcowie i dziadowie, z temi słowami szliśmy pokryjomu, nieraz z ofiarą własnej wolności, czy nawet życia, tworzyć podwaliny ich istotnej treści, te same słowa próbowaliśmy wymówić w imieniu Polski pamiętnego dnia 6. sierpnia 1914 roku. Drogi kolego! W tej chwili myśl moja biegnie ku Wam wszystkim, towarzysze broni! Z całego serca winszuję wam tej chwili tryumfu idei naszej, a pisząc do was, Kochany Pułkowniku, wiem, że piszę do wszystkich moich współpracowników i kolegów bez różnicy stopnia... Sądzę, że teraz musicie wykazać uzasadnioną cierpliwość i ufność, że żołnierz polski w tej światowej wojnie znajdzie nareszcie Ojczyznę w postaci własnego rządu i własnego wojska. Zdaniem mojem dymisye wasze powinny być teraz cofnięte, a z tą chwilą żelazne prawa i służby żołnierskiej powinny być w całej rozciągłości przez Was stwierdzone. Przyjemnie mi jest stwierdzić, że w tej chwili, po krótkiej rozmowie z pułkownikiem Roją i Sosnkowskim, przyszliśmy do jednozgodnego w tej sprawie poglądu, któremu dawaliśmy wyraz w swojej depeszy do was. Kochany Pułkowniku, ufając głęboko waszemu taktowi, który tak wysoko zawsze ceniłem, zwracam się do Was, abyście zechcieli wśród wojska być rzecznikiem mych uczuć i wyrazicielem mego zdania w tej sprawie. Serdeczne uściśnienie łączę

J. Piłsudski“.

Manifestacye we Lwowie.

Stolica kraju, zawsze gorący biorąca udział w życiu narodowem, i tę dziejową chwilę odczuła głęboko. Urzędowa „Gazeta lwowska“ w ten sposób opisuje entuzyazm mieszkańców Lwowa:

„Już od soboty rano krążyły wiadomości, że wieczorem ma być ogłoszony historyczny manifest w sprawie Polski. Popołudniu widać było na ulicach i w lokalach publicznych grupy ludzi, rozmawiających żywo o tem, co ma nastąpić. Jakiś podniecony, nerwowy, radosny nastrój ogarnął wszystkich, wzrastał, rozszerzał się. Ruch na ulicach stawał się coraz większy, aż wieczorem koło godziny ósmej przybrał rozmiary dawno niewidziane. Nerwy wszystkich były napięte, zniecierpliwienie udzielało się mimo woli, zapierało oddech w piersiach, w których tłukło się serce, wezbrane oczekiwaniem.

Więc to dziś, niebawem, za kilka już godzin?...

Polska niepodległa, wolna Polska — sen śniony od stuleci przez dziadów i ojców naszych — zjawa słoneczna, marzona w długie narodowe noce — żywa, prawdziwa Polska staje się ciałem!...

Za chwilę staniemy w obliczu spełnionej tęsknoty wieków. Za chwilę słowo „Polska“ stanie się nie synonimem, lecz rzeczywistością. Po 121 latach wracamy na kartę Europy, zaliczeni do rzędu państw europejskich, do narodów, które mają prawo stanowić o sobie.

Poprostu nie sposób zapanować nad nerwami, oszołomionymi nawałnicą pierwszego wzruszenia.

Na ulicach tłum z chwili na chwilę rośnie — przed lokalami redakcyi tysiące osób, młodzi, starzy i dzieci.

W lokalu naszej redakcyi zebrało się grono wybitnych osób, w skupieniu oczekujących na odezwanie się dzwonka telefonu. Na wszystkich twarzach malowało się hamowane gwałtem wzruszenie.

Wreszcie koło godziny 8·30 wieczorem nadeszła wiadomość: Odręczne pismo Najjaśniejszego Pana, dziejowa proklamacya obu sprzymierzonych Monarchów — proklamacya samoistnego państwa z dziedziczną monarchią i konstytucyjną formą rządu!

Po prostu trudno oddać w słowach wrażenie, jakie wywarło to na wszystkich. Wkrótce wieść przedostała się na ulicę — tłum się zakołysał, w pierwszej chwili nie stać było nikogo nawet na okrzyk radosny, łzy tamowały mowę. Sciskano sobie tylko dłonie w milczeniu, patrzano długo, wymownie w oczy, w których lśniła mgła potężnego wzruszenia. Dopiero po jakimś czasie rozebrzmiały słowa drogie każdemu polskiemu sercu, a teraz już tak prawdziwe, istotne, wszystko mówiące:

„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Tysiączne tłumy odruchowo skierowały się w stronę pomnika narodowego wieszcza, który, dwa lata przeszło temu, widział u stóp swoich pierwsze zastępy formujących się kadr wojska polskiego.

Oszołomiła wszystkich radość. Idzie tłum, przelewa się ulicami, płyną pieśni jedna po drugiej, śpiewane przez starców, mężczyzn, kobiety i dzieci. Pod spiżem pomnika odkrywają się głowy — chwila ciszy, a potem o ciemno-fioletowy strop nocy uderzyła potężna pieśń hymnu narodowego, w której nie beznadziejny już drżał smutek, lecz wiara w zwycięstwo.

A potem działy się sceny, jakich nikt nigdy nie zapomni. Ludzie płakali głośno z nadmiaru szczęścia — widzieliśmy, jak jakiś starzec tulił grupę dzieci, chciał im coś powiedzieć, wytłumaczyć, a usta mu tak drżały, że słowa przecisnąć się przez nie mogły. Jakaś pani podniosła chłopczyka kilkuletniego, by widział to, co się dzieje pod pomnikiem, bo właśnie przechodziła młodzież gimnazyalna i skauci i powtarzała dziecku jedno tylko słowo: Polska, Polska... Pootwierały się bramy domów i okna, zaczęto wywieszać chorągwie o barwach narodowych, przystrajać balkony kwiatami i festonami.

Pomimo późnej godziny wieczornej ruch olbrzymi panował na ulicach do północy. Wszystkie lokale publiczne były natłoczone po brzegi — wymianie zdań, gratulacyom wzajemnym nie było końca — witano się i żegnano słowami: „Niech żyje Polska!“

Wreszcie powoli zaczęto udawać się do domów. Wyczerpanie i znużenie ogarnęło wszystkich. W tę pamiętną noc jednak mało kto spał napewno.

Rano w niedzielę kto żył, wyległ na ulice“.

Proklamacya jeneral-gubernatorów w Królestwie Polskiem.

W Warszawie i Lublinie ogłoszono następującą proklamacyę:

Do ludności generał-gubernatorstwa lubelskiego i warszawskiego!

Monarchowie sprzymierzonych mocarstw, Austro-Węgier i Niemiec, oznajmili Wam swe postanowienie utworzenia z ziem polskich, wyzwolonych z pod jarzma rosyjskiego, nowego, samodzielnego Królestwa Polskiego. W ten sposób urzeczywistnia się najgorętsze pragnienie Wasze, które od wieku przeszło żywiliście zdawało się — naprożno.

Powaga niebezpieczeństwa tych ciężkich chwil wojennych oraz troska o wojska nasze, stojące w obliczu wroga, zmuszają nas zachować zarząd nowego państwa Waszego tymczasowo jeszcze w naszych rękach. Pragniemy jednak chętnie dać mu już teraz przy Waszym współudziale stopniowo urządzenia państwowe, które mają poręczyć trwałe ugruntowanie państwa Waszego, jego ukształtowanie i bezpieczeństwo.

Na pierwszem miejscu wojsko polskie.

Nie ustał jeszcze bój z Rosyą; w walce tej i Wy pragniecie wziąć udział. Stańcie więc przy nas jako ochotnicy; pomóżcie nam uwieńczyć zwycięstwo nasze nad Waszym prześladowcą.

Mężnie i z wielką chlubą walczyli obok nas bracia Wasi z Legionów polskich. Wstępujcie w ich ślady w nowo powstać mających oddziałach wojskowych, które w przyszłości złączone z Legionami, utworzą polskie wojsko. Będzie ono dla nowego państwa silną podporą i zapewni mu bezpieczeństwo na zewnątrz i wewnątrz.

Pod narodowemi Waszemi barwami i sztandarami, które nadewszystko umiłowaliście, macie osłaniać Ojczyznę Waszą. Znamy Waszą odwagę i płomienną Waszą miłość Ojczyzny — to też wzywamy Was do boju przy naszym boku.

Zgromadźcie Waszych, do broni zdolnych mężów za przykładem walecznych Legionów polskich i połóżcie we wspólnej na razie pracy z niemiecką i sprzymierzoną z nią austryacko-węgierską armią podwaliny pod armię polską, w której pełne chwały tradycye Waszych dziejów wojennych odżyją na nowo we wierności i męstwie Waszych żołnierzy.

Ces. niemiecki generał-gubernator *Beseler*.

C. i k. austro-węgierski generał-gubernator wojskowy *Kuk*.

Organizacya wojska polskiego.

Jak donosi c. k. Biuro korespondencyjne z Lublina, „Dziennik rozporządzeń w Polsce“ ogłosił przepisy dobrowolnego wstępowania do wojska polskiego. Z obwieszczenia tego, podpisanego przez jenerał-gubernatora okupacyi austryackiej, jenerała Kuka, wyjmujemy ważniejsze ustępy.

Od dnia 22. listopada będą u wszystkich wójtów jenerał-gubernatorstwa lubelskiego wyłożone listy dla osób, które chcą dobrowolnie zgłosić się do wojska polskiego. W większych miejscowościach i miastach urządza się wedle potrzeby osobne biura zgłoszeń. Komendanci obwodów podadzą termin i miejsce otwarcia tych biur. Zgłaszanie ma się odbywać o ile możności u wójta tej gminy, w której dany ochotnik mieszka.

Do listy zgłoszeń mogą się zapisywać wszyscy Polacy bez względu na język i wyznanie, mieszkający na terytoryum oswobodzonem przez zjednoczone wojska państw centralnych, o ile w ciągu roku, w którym się zgłaszają, kończą najmniej ośmnaście, a najwyżej czterdzieści pięć lat życia.

Na razie tworzy się następujące rodzaje broni: piechota z oddziałami karabinów maszynowych, jazda, oddziały sanitarne i tabory. Każdemu ochotnikowi wolno prosić o wpisanie do listy zgłoszeń dla jednego z powyższych rodzajów broni. — Ochotnicy jazdy, oddziałów sanitarnych oraz taborów mają przy wstąpieniu przyprowadzić, o ile możności, własnego konia, za którego po poprzedniem oszacowaniu, wypłaci się zaraz wynagrodzenie. O ostatecznem przydzieleniu do jednego z powyższych rodzajów broni rozstrzyga jenerał-gubernatorstwo warszawskie, na podstawie wyniku badania lekarskiego, oraz stosownie do zapotrzebowania.

Przy zgłoszeniu dostaną ochotnicy tak zwane poświadczenie zgłoszenia. — Od dnia zgłoszenia się ochotnicy muszą być gotowi każdej chwili do stawienia się, celem zbadania przez lekarza wojskowego, a w razie uznania ich za zdatnych do służby, do natychmiastowego powołania pod broń. Aż do tej chwili mają oni o każdej zmianie mieszkania i miejsca pobytu donieść najdalej do pięciu dni ustnie lub listownie temu wójtowi lub biuru, w którem podjęli poświadczenie zgłoszenia, podając przytem dokładny nowy adres. Takie samo zawiadomienie podać należy do wójta (miejscowej władzy policyjnej) nowego miejsca zamieszkania.

Dzień i miejsce badania lekarskiego będą osobno podane do wiadomości. Ochotnikom przyzna się w razie potrzeby bezpłatny przejazd, tudzież mieszkanie i utrzymanie w miejscu badania lekarskiego, ponadto otrzyma każdy ochotnik 2 korony dziennie jako wynagrodzenie za utratę zarobku.

Kto przy zbadaniu zostanie uznany za zdolnego do służby, otrzyma tak zwane „świadectwo przyjęcia“ i odpowiedni dopisek w paszporcie, lub w innym dokumencie, stwierdzającym tożsamość osoby.

Po zbadaniu lekarskiem ochotnik albo zaraz będzie wcielony do służby przy odnośnej formacyi wojskowej, albo też otrzyma tymczasowy urlop. Kto przyjął świadectwo przyjęcia, ten temsamem należy do wojska polskiego i pozostaje od tej chwili począwszy, aż do zawarcia pokoju do dyspozycyi władz wojskowych i może być przez nie zwolniony jedynie w drodze „postępowania zwalniającego“.

Jeżeli nowozaciężny, który przyjął świadectwo przyjęcia, uchyli się od stawiennictwa do swego oddziału, staje się winnym dezercyi.

Każdemu nowo zaciężnemu, który otrzymał „świadectwo przyjęcia“, należy się przy wstąpieniu kwota czterdzieści koron na pokrycie drobnych nadzwyczajnych wydatków w pierwszych dniach służby. Kto po zbadaniu lekarskiem zostanie odesłany tymczasowo na urlop, otrzyma zaraz dwadzieścia koron, resztę zaś w dniu wstąpienia do czynnej służby przy swoim oddziale.

Ażeby armii polskiej zapewnić według prawa międzynarodowego uznanie charakteru jako „wojska państwa prowadzącego wojnę“, musi ona, o ile chodzi o naczelne kierownictwo i stosunki prawne, być tymczasowo przyłączona do wojska niemieckiego. — Co do poborów żołdu, utrzymania, wyekwipowania, rent inwalidów, opieki nad rodzinami i osieroconymi, przysługują żołnierzowi ochotniczego wojska polskiego te same prawa i przywile, co żołnierzom armii niemieckiej.

Wojsko polskie otrzymuje mundury z polskiemi narodowemi odznakami. W chorągwiach i sztandarach wojska polskiego odżyją znów staropolskie znaki z Białym Orłem na czerwonem polu.

Kronika tygodniowa.

Zajęcie kronikarza jest wprawdzie bardzo zaszczytne, lecz dość trudne, nie zawsze bowiem można pisać tak, jak człek chciałby, trzeba się na każdym kroku liczyć z różnymi względami wyższej i niższej polityki, a ani rusz wywnętrzyć się tak, jakby się pragnęło.

Z powodu wojny inne sprawy zeszły na dalsze punkty porządku dziennego, a o wojnie pisać ciągle też się nie opłaci, zwłaszcza, że rychlejsze, choć nie zawsze pewniejsze informacye w tym względzie mają pisma codzienne, które ponadto posiadają specyalistów od artykułów wstępnych, omawiających sytuacyę z najrozmaitszych platform (zależy, jaki wiatr wieje!) gdy tymczasem kronikarzowi pozostała tylko jedna, to jest kronikarska. Na innych czuje się nieswój. Wchodzi tutaj w grę także i nadzwyczaj czułe serce, jakiem mnie matka przyroda obdarzyła. Boleję zawsze i z każdym, o kim się dowiem, że cierpi i radbym mu nieba przychylić, o ile to tylko jest w mej mocy.

Nic też dziwnego, że po tym sentymentalnym wstępie żałosny początek kroniki poświęcam tym, którzy cierpią najbardziej i skazani zostali na śmierć głodową, to jest kawalerom, czyli, według brzmienia ustawy, osobom, nie prowadzącym własnego gospodarstwa domowego, gdzie, przy równiez własnem ognisku można się zagrzać i jako tako nakarmić. (Pić dają tylko wodę!... przyp. zecera).

Otóż biedacy owi, stołujący się dotąd w restauracyach publicznych i prywatnych, mogli dotąd pobierać chleb za kartkami tam, gdzie żywot swój napychali, dziś tego robić nie mogą, chleba nigdzie nie dostaną, natomiast wolno im go przynieść ze sobą w kieszeni i spożyć na miejscu.

Bardzo to ładnie, że wyszło takie zarządzenie, ale zaraz nasuwa się pytanie, skąd ów kawaler, czyli osoba, nie prowadząca własnego gospodarstwa, ma wziąć ów chleb, bez którego bardzo wiele osobników przy jedzeniu obejść się nie może? Musi się z konieczności powędrować do piekarza i tam stanowić część „ogonka", czekającego na swą kolej. Ale tam trzeba czekać bardzo długo, nieraz dzień cały, zanim się otrzyma upragniony bocheneczek, a taki głodny kawaler jest urzędnikiem, który musi pójść rano do biura, gdyż inaczej gotów nie otrzymać pensyi na pierwszego, natomiast ściągnąć na się dyscyplinarkę za zaniedbywanie się w urzędowaniu i to z tak nizkich powodów, jak obżarstwo. Pozatem musi kupić cały bochenek, a że dziennie zjada dwie, najwyżej trzy kromki, jak przepis nakazuje, nim dogryzie ten specyał do końca, chleb tymczasem najzupełniej skamienieje i stanie się do użytku niezdatnym.

Przypomina mi się stare przysłowie, które powiada: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem!..." Ładnie wyglądałby dziś ten, kto dostałby w łeb kawałkiem takiego suchego chleba. Swieży się przylepi, zeschnięty, czerep rozbije.

Ale to do rzeczy nie należy! Wracam do kawalerów i zakazu chlebowego, bo chciałbym wynaleźć jakąś pośrednią drogę, któraby obie strony zadowoliła, to jest ustawę i chlebojadów kawalerskich. Otóż, myślę sobie, że jeżeli już inaczej być nie może, to jest, jeśli żaden biedny kawaler kawałka chleba za kartką w jadłodajni przy obiedzie i kolacyi nie dostanie, należy w każdym urzędzie i instytucyi, gdzie pracuje ich choćby tylko kilku, sporządzić ich spis i jednego delegować z urzędu do chlebowego „ogonka". Tam zakupiłby wystarczający na cały dzień zapas chleba dla wszystkich towarzyszów niedoli. Obowiązkiem jego (pod osobistą odpowiedzialnością!...) byłoby też i podzielenie bochenka na równe porcye, by nikt nie został pokrzywdzony.

Tak postępować mogą jednak tylko ci, którzy pracują w urzędach i instytucyach, co zaś mają robić zupełnie luzem chodzący samożyjcy?... Tym nie pozostaje nic innego, tylko przed obiadem i kolacyą kawałek chleba albo gdzieś ukraść, albo wyżebrać.

Wyobrażam sobie, jak to pięknie wyglądałoby, gdy do drzwi zapuka ktoś. Ja otwieram i widzę eleganckiego, młodego pana z kapeluszem w dłoni. Zaciekawiony, pytam:

— Czem mogę służyć?

A on mi na to:

— Biedny kawaler, idący na obiad, prosi pokornie o kromkę chleba. Oto kartka chlebowa i cztery halerze...

W pierwszym wypadku, jeśliby rzeczywiście człek, nie prowadzący własnego gospodarstwa, kawałek chleba ukradł, naraża się na wejście w konflikt z ustawą karną, w drugim wypadku mogą mu zarzucić, iż żyje z dobroczynności publicznej, jako taki więc nie ma prawa używania w pełni przywilejów obywatelskich. I to więc złe i tamto nie dobre, na gwałt trzeba szukać jakiegoś środka zaradczego...

I ani mi przez łepetę nie przeszło, że ta deska ratunku dla chleba chcących kawalerów tak blizko, a my jej nie spostrzegliśmy! Zoczyła ją natomiast moja Weronika, która, słysząc moje ubolewanie nad garbatym losem kawalerów, rzekła:

— Sami sobie winni! Niech się żenią, będą mieć chleb w domu!

Przyznałem jej w duchu słuszność, bo to i człowiek ma w domu aż trzy latorośle, więdnące z dnia na dzień i czekające na ogrodnika, któryby je pielęgnował, podlewał i t. d. A każda z nich ma swą własną kartę chlebową! Kawalerowie więc mają drogę otwartą do szczęścia, niech tylko wyciągną rękę, już je złapali, a wyjdą na tem dobrze, bo co wikt domowy, choćby nawet wedle książki kucharskiej sporządzony, to nie restauracyjne paskudztwa (katar żołądka wykluczony!...), pozatem chleba nie braknie, gdyż żona, podczas gdy mąż będzie w biurze, wejdzie w skład „chlebowego ogonka" i załatwi wszystko, jak się patrzy.

Możnaby więc z tego wnosić, że owo rozporządzenie władzy w sprawie zakazu wydawania chleba w publicznych jadłodainiach wydane zostało po porozumieniu się z „Wydziałem niewiast, mających chęć wejścia w związki małżeńskie", a nie mogących się doczekać na owego królewicza z bajki, który dziś nie przyjedzie w złotej kolasie, ale, co najwyżej tramwajem, lub, jeśli jest takim magnatem, że ma buty całe, „przykniaje" piechotą. — Jeżeli niewiasty to zrobiły, każdy przyzna, postąpiły sobie bardzo chytrze, używając takiego fortelu i nikt im tego za złe wziąć nie może, tembardziej kronikarz, który zawsze stawał w obronie strony, mającej bodaj jaką taką słuszność. A w danym wypadku cała słuszność jest po ich stronie, cóż warta bowiem baba, nie mająca chłopa przy boku? To chyba każdy przyzna, w szczególności kawalerowie, do których kieruję niniejszą proklamacyę, wzywając ich w imię ogólnego dobra, aby z ochotą garnęli się pod sztandary małżeńskie. Radzi się wiele nad odbudową kraju, robi się projekty, czy komin ma być w chałupie taki, jak w Zakopanem, czyli też jak w Psiej Wólce, nikt jednak nie zastanowił się nad tem, kto będzie w niej mieszkał. Należy więc pomyśleć i o komisyi, mającej się zająć zaludnieniem kraju, i kto wie, czy owo wydanie zakazu podawania chleba w restauracyach osobom, nie mającym dotąd gospodarstwa domowego, nie jest pierwszym krokiem w tym kierunku. Nie chcecie dobrowolnie, to się was zmusi, choćby najbardziej drakońskimi środkami.

Z innej znów strony zapewniono mnie solennie, że zakaz ów, o którym mowa, spowodowany został interwencyą magistratu, chcącego do swych wojennych kuchni dla intelligentów zegnać jak największą liczbę stołowników, o ile bowiem słyszałem, chleb tam dotąd wydają.

Ta druga hipoteza nie przemawia do mego sumienia i mózgu, raczej sądziłbym, że pierwsza jest prawie pewnikiem, bo, choć wojna, rodzaj żeński, o ile że jest w znacznej większości, zwłaszcza w „*Hinterlandzie*", zaczyna pokazywać zęby i pazurki. Sufrażystki angielskie ruszyły się znowu i odbyły zgromadzenie, na którem zastanawiano się nad zbesztaniem rządu angielskiego, iż zbyt mało pomaga panu Venizelosowi. Z rezolucyą wysłano do ministrów słynną panią Pankhurst na czele deputacyi. Minister Grey, gdy mu zaanonsowano miłych gości, ze strachu schował się podobno pod kanapę i kazał powiedzieć, że jest zajęty ważnemi sprawami, więc nikogo nie przyjmuje. Pani Pankhurst wygadała się należycie bodaj wobec woźnego prezydyalnego i prosiła, by to ekscellencyi powtórzył.

— Oho! — pomyślał sobie — ładnie wyszedłbym na tem! Wyrzuconoby mnie na łeb ze służby... zapewnił jednak solennie, że ani słowa nie doda, ani jednego nie uroni.

Także i w Ameryce widzimy budzenie się coraz większego ruchu między niewiastami. Objawem tego wybór pierwszej kobiety-posła do parlamentu Stanów Zjednoczonych. Jest nim pani Ranking, zastępująca stan Montana, a należąca do partyi niezawisłej. Wogóle panie amerykańskie wzięły bardzo żywy udział w odbytych niedawno wyborach prezydenta Stanów Zjednoczonych i one podobno przyczyniły się do ponownego wyboru neutralnego Wilsona, o ile to *nota bene* prawda, dotąd bowiem nie wiemy napewne, kto zwyciężył, Wilson, czy Hughes. Raz gazety piszą tak, raz owak. Jeśli Wilson zwyciężył, górą demokraci, jeśli Hughes, republikanie, właściwie zaś niewiasty, jeśli one rzeczywiście szalę zwycięstwa na którąś stronę przechyliły. Ale to zły objaw, że już nawet Amerykanie dali się babom wziąć za łby!

Skoro więc teraz baby górą, ciekawy jestem, dlaczego u nas miałoby być inaczej, one więc umaczały rękę (*pardon!*... rączkę! przyp. zecera) w sprawie wydania zakazu podawania kawalerom chleba; doprowadzą jeszcze do tego, iż na każdem ogłoszeniu w tej materyi wielkiemi, czerwonemi literami umieszczony będzie napis: „Żeń się Jasiu, żeń!..." Rzecz prosta, że zdanie to nie tylko się do Janów odnosi, ale do wszystkich kawalerów, nie dźwigających dotąd kajdan małżeńskich, a chcących dmuchać we własne ognisko domowe i mieć do obiadu i kolacyi kromkę chleba. Wielu z nich dmuchało i dmucha w cudzy ogień, ale to rzecz niebezpieczna, bo łatwo można się sparzyć, niejeden miał za to i kromkę chleba, lecz zawsze co swój własny chleb, to własny!

Uważam więc moje twierdzenie prawie za udowodnione!

Skoro tak wyczerpująco omówiłem kwestyę chlebowo-aprowizacyjno-matrymonialną, dodam jeszcze, że młode stadła małżeńskie mogą się także zaopatrzyć na zimę w miejskie ziemniaki, które gmina miasta Krakowa rozsyła już tym, którzy je zamówili. Narzekają wprawdzie niektórzy odbiorcy na ich jakość, ja przecież sądzę, że lepsze coś, niżeli nic. Gotów się magistrat pogniewać i powiedzieć: „Złe wam, narzekacie, to obejdźcie się smakiem"... i zabierze je do wojennych kuchni, których *menu* na bieżący tydzień przedstawia się bardzo zachęcająco. Czytając repertuar tygodniowy, trzy razy się oblizałem, zwłaszcza przy kaszy hreczanej ze słoniną, przy mamałydze zaś ze śliwkami przypomniało mi się wyodrębnienie Galicyi, niedawno nam obiecane.

Owa mamałyga ze śliwkami lub ze słoniną na sunęła mi na myśl refleksye polityczne, nie będę ich jednak w kronice poruszał, gdyż na tą kwestyę zapatruję się z innego zupełnie punktu widzenia, niż wyżej wymienieni ruscy politycy i wiem z własnego doświadczenia, jako iż długie lata we wschodniej Galicyi przeżyłem, że nie Polacy gniotą tam Rusinów, ale dzieje się wprost odwrotnie. Ubolewałem nieraz nad tem, przypominając sobie owe dawne, lepsze lata, kiedy to i Polak i Rusin uważali się za braci, niechby już stryjecznych, i stawali razem do pracy. Ale wówczas nie było polityków, którzyby właśnie na polityce chcieli zrobić dobry interes, bo oni to nawarzyli owej politycznej mamałygi. Ani im, ani nam nie wyszła ona na zdrowie. Lwia część Rusinów w duchu ich robotę potępia, ze strachu jednak, jak ów Grey, wleźli pod kanapę, bojąc się, by ich nie okrzyczono za szkodników narodowej sprawy.

Z jedzenia do polityki, z polityki znów do jedzenia!

Święty Marcin tego roku przeszedł bez śniegu (zwykle przyjeżdżał na siwym koniu, dziś chodzi piechotą, gdyż mu widocznie szkapę zabrano), co zaś najważniejsze, bez tradycyjnej gęsi. Są wprawdzie szczęśliwcy, którzy mogą sobie pozwolić na kupienie magistrackiej chudej gęsi (taką gęś można jeść nawet i w dzień bezmięsny bez obawy narażenia się na odpowiedzialność...), ale takich wybranych jest bardzo mało, chyba ci, którzy zrobili lub robią jeszcze dobre interesy na różnych dostawach (choć znów niejeden z nich wyszedł, niczem szklarz na mydle... ale o tem, potem!) Przeciętny śmiertelnik, a za takiego się właśnie kronikarz uważa, obchodzić się musi tylko smakiem i bardzo się cieszy, słysząc w dzień targowy miłe gęganie, przypominające Rzym, Kapitol i najazd Gallów. Na tem się jednak kończy! Ile razy człowiek miałby apetyt na udo gęsie, lub kawałek piersi, woła cały swój rozsądek na pomoc i powiada: „Obejdź się smakiem!"

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył E. Winter, Tarnów

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a a a a a a
a     b     b
b     b     d
e e e e f f h
l     l     n
n     r     r
t t t t t y y
```

Znaczenie wyrazów: 1. Napój 2. Złoczyńca 3. Zestawienie liter

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Przepolski, Czarny Dunajec.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ach, mów! Wiek kiwa mnie, a mech! Amen.

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko i imię polskiego powieściopisarza.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ – – – – – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – –
□ – – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – –
□ – – – – –
□ – – – –
□ – – –
□ – –
□ –
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Polski powieściopisarz. 3 Godność kościelna. 4. Chorobliwy stan psychiczny 5 Teatr świetlny 6 Niesłuszne obwinienie. 7. Zawód. 8 Miasto w Hiszpanii 9. Czas zabawy 10 Inaczej atrament. 11. Nakrycie jedwabne 12 Miejsce kuracyjne w Austryi 13. Wódz Tatarów. 14. Zagięty gwóźdź. 15 Miara powierzchni. 16 Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Janku upal ono wapno.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko współczesnego znakomitego dramaturga.

```
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Drzewo podzwrotnikowe. 2. Wino hiszpańskie. 3 Imię żeńskie 4 Przyrząd mierniczy. 5 Kierunek filozoficzny 6. Krzew. 7. Jenerał francuski z czasów Napoleona 8 Zabawy starożytnych. 9 Miasto w Galicyi. 10. Potwór znany z mitologii 11. Kolor czerwony.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K Kowalski, Wiedeń

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Mięlim d'a starej Dwewew czej!

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego wirtuoza

```
■ – – – –
– ■ – – –
– – ■ – –
– – – ■ –
– – – – ■
– – – – ■
– – – ■ –
– – ■ – –
– ■ – – –
■ – – – –
```

Znaczenie wyrazów: 1 Moneta angielska. 2. Książę hinduski 3 Drzewo szpilkowe 4 Drapieżny ptak. 5 Kwiat ogrodowy 6. Rozporządzenie papieskie 7. Rzemieślnik 8 Drzewo szpilkowe. 9. Gorący płyn 10 Ptak domowy.

Rozsypane litery.

Ułożył E. Winter, Tarnów

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

c, ć, d, ę, i, i, i, k, k, ł, n, o, o, o, p, s, ś, ś, z, z, z

Bilety wizytowe.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

WACŁAW ZYM

U. TAPINSKA.

EWA ST. KRAK

ARTUR BUD.

SEP NIN CITY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 45.

Szarada: Akademik.

Kwadrat magiczny:

```
J u k a
u r a n
K a i n
A n n a
```

Zadanie do przestawienia: Powiedz mi, z kim przestajesz, a ja ci powiem, kto jesteś.

Logogryf:

```
S z u j s k i
s ł o c i e ń
a d m i r a ł
j e s i o t r
n a w i a s y
o s t r y g a
c h i n i n a
h a s z y s z
a l k o h o l
```

Zadanie do przestawienia: Chrzest przyjmuj wodą, ślub polewaj wódką, a śmierć płakaniem.

Trójkąt magiczny:

```
J a d w i g a S t r o k o w a
a n t r o p o m o r f i z m
d e k o n c e r t o w a ć
W e r e s z c z a g i n
i n a u g u r a c y a
G r e n l a n d y a
a m b a s a d o r
S a l o n i k i
t a t a r a k
r a p o r t
o g i e r
k a w a
o s a
w y
a
```

Równanie:

Dynia + Agata + Krasiński + skiba = Dygasiński.
Godło + dyszel + Żydzi + Lucia = Gody życia.

Szarada: Reparatura

Zadanie do przestawienia: Nie śniło się filozofom.

Bilety wizytowe: Garkuchmistrz. Ogniomistrz Drogomistrz. Kolejomistrz Gazeciarka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów. M Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów. R Królicki Krościenko n. D.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Antosz, Tarnawa.** – Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Najnowsze wydawnictwa Instytutu ekonomicznego N. K. N. W handlu księgarskim ukazały się nowe wydawnictwa Instytutu ekonomicznego N. K. N, który, jak wiadomo, wydał dotąd cały szereg prac naukowych, poświęconych gospodarczym stosunkom na ziemiach polskich Obecnie wyszła z druku obszerna praca radcy dworu Romana Ingardena p. t. „Drogi wodne", „Regulacya i kanalizacya Wisły i Sanu a kanał Wisła-Dniestr", jako zeszyt VII. i VIII wydawnictw Instytutu ekonomicznego Znany z licznych prac naukowych, radca dworu Ingarden, który obecnie zajmuje odpowiedzialne stanowisko w Centrali dla gospodarczej odbudowy kraju, kierując techniczną stroną odbudowy kraju, porusza jedną z najważniejszych kwestyi gospodarczych na ziemiach polskich. dając pierwszorzędny materyał statystyczny i faktyczny. Praca zawiera mapy, liczne tabele i będzie zapewne przedmiotem ożywionej dyskusyi w kołach naukowych i technicznych Praca ta jest wydana za przyczynieniem się Towarzystwa technicznego w Krakowie. Czysty dochód przeznaczony na cele inwalidów, słuchaczów Politechniki we Lwowie

Równocześnie ukazał się w druku drugi tom dzieła dra Leona Władysława Biegeleisena p. t. „Rozwój gospodarczy nowoczesnej wsi polskiej". Pierwszy tom tej pracy omówiliśmy w naszem piśmie, obejmował on materyał w sprawie kwestyi roboczej rolnej, drugi tom dotyczy problemu drobnej i wielkiej własności, obejmuje omówienie gałęzi hodowlarej i stosunku jej do uprawy rolnej na terenie gospodarstw włościańskich w porównaniu ze stosunkami zachodnimi i na tle międzynarodowych konjunktur traktuje kwestyę odłużenia własności ziemskiej, ruch parcelacyjny, włości rentowych, dzierżawy, zawiera wreszcie ocenę ekonomiczną gospodarstw różnej kategoryi własności ze stanowiska gospodarstwa narodowego

Nakładem Instytutu wyszła również praca dra Edwarda Grabowskiego p t. „Rozwój skupień ludności na ziemiach polskich". Wszystkie wydawnictwa Instytutu ekonomicznego N. K N są do nabycia w księgarniach. Instytucye, chcące otrzymać odpowiedni opust w cenie księgarskiej, zechcą zwrócić się bezpośrednio do Instytutu ekonomicznego N. K. N, Krowoderska 26

Kącik humorystyczny.

Niefortunny cytat.

Pan profesor X., który w pewnem gimnazyum krakowskiem obcinał knoty zoologicznej mądrości, obchodził w ubiegłym miesiącu uroczystość swego patrona. Studenci, aby uczcić poczciwego pedagoga, utworzyli chór, który rano, w sam dzień imienin, udał się do jego mieszkania i tu odśpiewał szereg pieśni. Wzruszony profesor wyszedł do swych pupilów i podziękował im następującą przemową:

— Moi kochani! Już starożytni mędrcy powiadali, że śpiew działa i na najdziksze zwierzęta, codziennie też mamy sposobność przekonać się o prawdziwości tego zdania!... Ot i dzisiaj sprawiliście mi swemi produkcyami ogromną radość i *wzruszyliście mnie do głębi*... Dzięki wam za to!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego